WINAWER



ZNAJOMEK Z FIESOLE

ZNAJOMEK Z FIESOLE

BRUNO WINAWER

ZNAJOMEK Z FIESOLE

GAWĘDA ZIMOWA

NAKŁADEM „WESOŁEJ BIBLIOTEKI"
WARSZAWA: E. WENDE i SKA; POZNAŃ: FISZER i MAJEWSKI;
ŁÓDŹ I KATOWICE: LUDWIK FISZER; TORUŃ I SIEDLCE
TOW. WYDAWNICZE „IGNIS"

DRUKARNIA NARODOWA W KRAKOWIE

SŁOWO WSTĘPNE

Historja, którą w tych oto dialogach opowiadam, nie jest doprawdy i tym razem wzruszająca, ani niezwykle dramatyczna.

Bohaterem każdego wogóle utworu literackiego bywa przeważnie zły człowiek: kobieta-demon, albo mężczyzna-uwodziciel. Poczciwców — tak się już utarło — uważamy stale za idjotów i oddaliśmy ich z dobrodziejstwem inwentarza autorom bajek dla dzieci i powiastek dla młodzieży. Czytelnika i widza dojrzałego interesuje przeważnie kanalja. Zdają sobie z tego sprawę doskonale zarówno aktorzy jak i dziennikarze, właściciele teatrów i wytwórni kinowych. Istnieje cicha umowa, dzięki której na scenie, na ekranie i w druku stykamy się przeważnie z ludźmi o bardzo zaszarganej przeszłości.

Gabrjel Tender, Znajomek z Fiesole, o którym tu będzie mowa, jest człowiekiem dobrym. Zużywam sporo swady i miejsca na to, żeby

wykazać, ile sprytu i djabelskiej przebiegłości wymaga taka rola w życiu. Każdego durnia stać na złośliwy kawał, ale dobroć to bardzo trudne rzemiosło. Dlatego też do produkcji uczynków dobrych, która może być zajęciem bardzo popłatnem, powinni się brać fachowcy, a nie dyletanci, amatorzy, moraliści, puszczający w obieg tandetę i nieudolne falsyfikaty. Gabrjel Tender jest w swoim zawodzie specjalistą.

Z wydarzeń dalszych i ze słów osób działających (przemysłowiec, p. Derka, młodzi państwo Polichnowscy, małżonkowie Frydlądowie, Syfon i panna Ellen de Verny) poznamy bliżej obieżyświata, włóczęgę i pasażera kolejowego z powołania, p. Gabrjela Tendera. O jego przygodach nie mówię tu umyślnie, bo nie chcę odkrywać kart i wygrywać z miejsca wszystkich atutów. Któżby chciał słuchać opowieści, gdyby jej treść znalazł odrazu w przedmowie? Ostatecznie każdy czytelnik jest do pewnego stopnia widzem teatralnym, a praktyka wykazała, że trzygodzinne siedzenie w teatrze jest zajęciem tak nużącem i uciążliwem, że widz dzisiejszy decyduje się na nie

tylko wtedy, kiedy nie wie, co go czeka. Przypuszczam, że wkrótce nawet »Hamleta« będziemy grali z niespodziankami, a akt trzeci normalnej komedji współczesnej nauczymy się przeplatać zgrabnie loterją fantową i ciągnieniem dolarówki.

Poprzestańmy zatem na ogólnikach! Prawdopodobnie żyli już i w czasach antycznych ludzie, którzy — bez patosu, bez rozdzierania szat — okiem spokojnem patrzyli w przyszłość. Wiedzieli, że się »ma pod koniec starożytnemu światu«, że na ruinach Akropolu niedomyty Grek będzie sprzedawał gąbki barbarzyńcom z Zachodu. Wiedzieli, i — nic im to nie pomogło. Owi ludzie antyczni mieli przynajmniej na pociechę malownicze, powłóczyste szaty i dźwięczne imiona. Dziś — Gabrjel Tender (przypadek drugi: Tendera) wysiada na dworcu wiedeńskim w Warszawie, uśmiecha się dobrotliwie, a jednak — to on, jak zobaczymy za chwilę, jest Masynissą i Jeremjaszem współczesnym. W tej naiwnej historji chodzi wogóle o rzeczy głębsze. Pan Derka fabrykuje spinacze i pluskiewki, p. Nina Frydlądowa tworzy ligę gaszenia wulkanów, pan Amilkar z Syfonem i Morysiem organizuje wielki przemysł — ale

całe to grono ludzi szuka przedewszystkiem własnej drogi wśród gruzów powojennych.

Szczegółami bliższemi i tantjemą podzielimy się chętnie we właściwym czasie z łaskawym czytelnikiem.

I. ZMIERZCH.

Salon u Polichnowskich, na Starem Mieście. Drzwi na kurytarz — w głębi, drzwi po prawej, do pokoju gościnnego, drzwi po lewej — do pokoju, w którym tymczasowo umieszczono szafy z ubraniem.

Widać na pierwszy rzut oka, że w mieszkaniu obozowali jeszcze niedawno tapicer i malarz. Obrazy stoją pod ścianami, meble zarzucone dywanami, kilimami, firankami, książkami, prezentami ślubnemi. Prócz tego wszędzie — kufry, pudła, walizy, torby. Na stołach albumy z podróży, paciorki weneckie, jakaś gra w »diabolo«, albo »ma-dżong«, kupiona na prezent, chusta, nabyta okazyjnie we Florencji, mandolina ze wstążkami. Na podłodze żyrandol, który trzeba odesłać do sklepu. Jednem słowem: ktoś po długiej podróży wrócił do nawpół urządzonego mieszkania.

Moryś — kończy właśnie toaletę (państwo Polichnowscy bowiem proszeni są na kolację do wujostwa Frydlądów). Moryś ma na sobie

już koszulę frakową i czarne inieksprymable, ale odziany jest jeszcze we wzorzystą »bonżurkę«, bardzo kolorową, specjalnie przywiezioną z zagranicy.

Moryś. (oparł na kufrze — pod dziwnym kątem — lusterko i próbuje zawiązać krawat. Klnie przytem w narzeczach południowych, słowami, zaczerpniętemi z »Baedekera«: Corpo di Bacco! Trinita dei Morti! Ferrara!

Rara. (z pokoju gościnnego, po prawej) Morysiu! Maurice!

Moryś. Co, duszko? Co, tutti frutti moje? — Bodaj to wszyscy djabli! Zaczarował kto ten krawat?

Rara. (krzyczy z drugiego pokoju) »Dawida« i widok ogólny Florencji powiesimy w pokoju gościnnym!

Moryś. Dobrze! Zgoda! Powieś Dawida! (Lusterko spada z kufra). Żeby cię pioruny!

Rara. (za sceną) Co mówisz?

Moryś. Nic, nic. To ten krawat! Una cravatta maledetta! Dawnobym się wściekł, gdyby nie tych kilka słów włoskich! Ten język mnie wprawia w dobry humor! Psiakrew... pękła! Wiedziałem, że pęknie! Szukaj tu teraz drugiej spinki! Porta Romana! Gallerie di-

verse! (Przewraca bez sensu graty i pudełka, sięga do torb i walizek) Cambia valute!

(Stefanja z paczką papierów)

Co tam?

Stefanja. Gazety.

Moryś. A dawaj, dawaj, dawaj. Jak tam na świecie? Mróz?

Stefanja. Mróz.

Moryś. Ha! Słyszysz, Rara? Stefanja mówi, że na świecie jest mróz. Gdyby Stefanja była w Kalabrji, toby Stefanja nie mówiła, że jest mróz.

Śnieg skrzypi pod nogami, co?

Stefanja. Skrzypi.

Moryś. Ho! Skrzypi! Stefanja wogóle bardzo ładnie opowiada. Stefanja ma talent epicki. Na co Stefanja jeszcze czeka?

Stefanja. Czy państwo dziś jedzą kolację w domu?

Moryś. Nie, łabędziu! Nie, Petrarko! Nie, campanilo moja. Idziemy do państwa Frydlądów. Gdyby się co — nie daj Boże — stało, jesteśmy u wujostwa, w Alejach. Żegnaj mi, ty piękna i ty uśmiechniona, (mruczy coś, czyta ceduły giełdowe). Żelazo... cukier... dewizy...

Stefanja. Czy mam przynieść wody do golenia?

Moryś. Przynieś, groto błękitna na Capri, przynieś... Metalowe mocniej, włókniste słabo. (Stefanja wychodzi, przekładając po drodze kilka gratów z jednego mebla na drugi).

Moryś (siada na fotelu, liczy). Trzy razy ośm — dwadzieścia trzy. Rara! Bardzo miła jest ta Stefanja! Mówi mało, ale do rzeczy. Udał ci się ten wybór. Trzeba przyznać, że ty się znasz na ludziach. Co? (pauza) A tak! Ja ci się też udałem — naturalnie! (znów mruczy) trzy razy osiemnaście i pół — mniej więcej pięćdziesiąt cztery...

(Pani Rara — odziana w jakiś kitel, czy płaszcz gumowy męża, uzbrojona w młotek)

Moryś (wciąż mruczy) Radocha... Polbale... Tepege... Hacele.

Rara. Moryś! Co ty wygadujesz? Gorączkę masz? W jakim to języku?

Moryś. W języku giełdowym, patata mia. Interesiki! Życie puka do naszych wrót, moja droga. Trzy tygodnie już jesteśmy w kraju. Myślisz, że zawsze będzie, jak tam... »nad Alp śniegiem Włoch błękity«? Gołąbki? Gondole? Stazione dei Termini! Stabilimento idroterapico?

Życie ma swoje prawa. Tintoretto jest dobry, Donatello jest piękny, ale Lilpop z Cegielskim są też niczego.

Osiemnaście razy szesnaście...

Rara. (siada przy nim, odbiera mu gazetę) Bardzo się cieszę, Maurice, żeś zaczął z tej beczki. Już dawno chciałam z tobą pomówić o naszem życiu przyszłem.

Moryś. O życiu przyszłem wie najwięcej z całej rodziny ciotka Nina, kwirynale mój, tabernacolo dell'Arte...

Rara. Nie bredź! Powtarzasz wyrazy bez sensu.

Moryś. To trudno. Muszę przecież pokazać ludziom, że byłem we Włoszech.

Rara. Przeczytaj sobie porządnie Baedekera — zamiast pleść trzy po trzy.

Wracając do tematu — nie jestem przecież lalką malowaną. Chodziłam na wykłady, skończyłam kursa handlowe, szkołę filmową, coś wiem, coś czytałam. Chcę, żeby małżeństwo nasze było oparte na współpracy...

Moryś. Dobrze.

Rara. Na wzajemnem dopełnianiu się... Nie wiem, czyś czytał »Kształcenie woli« Payota?

Moryś. Nie.

Rara. Strach, jaki ty jesteś pod niektórymi względami zaniedbany! A Freuda znasz?

Moryś. Nie znam. On się o to nie starał, a że ja się nie lubię nikomu pierwszy narzucać...

Rara. Maurycy, ja mówię poważnie! Chcę z tobą dzielić dolę i niedolę. Musisz mi się spowiadać ze swoich zamiarów, trosk i kłopotów... Chcę wiedzieć, co wy tam knujecie z panem Derką...

Moryś. To ciotka, to nie ja! Ciotka odkryła we mnie jakieś niezwykłe talenty administracyjne. Powiadają, że ja mam poprostu wielką karjerę przed sobą. Sam Stinnes to osobiście potwierdził.

Rara. Jakto Stinnes? Kiedy?

Moryś. Oczywiście po śmierci. Przyszedł na seans do Wilońskich i powiada: jeden tylko mi dorównać może — Moryś Polichnowski...

Rara. No widzisz! A ja nic o tem nie wiem! Traktujesz mnie, jak gęś! Po co mi były te lata nauki? Algebra, buchalterja podwójna, historja sztuki?

Nasz stosunek musi uledz zmianie — podział pracy, wzajemne zaufanie, rów-

ność... Musisz mi się zwierzać ze wszystkich zmartwień i niepowodzeń...

Moryś. Co to, to nie! Kłopoty należą wyłącznie do mnie! Pomo di terra! Jestem — mężczyzną!

Rara. Och, masz się czem chwalić: Mężczyzna?

Moryś. Tak? A kim był Michał Anioł? Kim był Dawid? Kim był ten na koniu w Wenecji? Widziałaś gdzie na pomniku kobietę — prócz takich nagich, alegorycznych? Kto wymyślił maszynę do szycia, kto wynalazł proch? Wszędzie my — nawet w kucharstwie! Kto wynalazł zrazy à la Nelson?

Rara. Dziwna rzecz, żeś się żenił, mając takie poglądy...

Moryś. Bo mi w tej chwili dopiero ta myśl przyszła do głowy... Jesteście nibyto poetyczne, seratickie — a kto pisze wiersze? My! Mickiewicz, Leopardi, Ada Negri! Nie Mbdziumbdzińska, nie Rymtadralska:

Ale ty się gniewasz, Raruś... (chce złożyć pocałunek na jej ramieniu czy karczku).

Rara. Gniewam się! Wszystko obracasz w żart. Prócz tego jesteś nieogolony i — jeżeli

już koniecznie chcesz wiedzieć — Ada Negri jest kobietą!...

Moryś. Dobrze, marmelada mia! Czegobym ja dla ciebie nie zrobił! Niech sobie będzie nawet kobietą.

Rara. Ale nie »niech sobie będzie«, tylko jest! Nie irytuj mnie!

Moryś. Ależ ptaszyno!

Rara. Nie mów do mnie w ten sposób! Zabraniam ci! Ile razy chcę z tobą pomówić serjo — ptaszyno! Na to się uczyłam stereometrji i biologji, żeby być we własnym domu ptaszyną i marmeladą!

Moryś. Ależ algebro moja, kosmografjo najdroższa...

Rara. Dosyć! Nie drażnij mnie!

(Panna Ellen de Verny. Jest to osoba młoda, piękna i dzielna. Na wsi — hoduje psy myśliwskie, poluje, karczuje lasy. W mieście — tańczy i nudzi się. Wygląda w futerku i czapce trochę jak »dziewczę z dalekiego Zachodu« na filmie amerykańskim).

Ellen. (wpada do pokoju z niewielkim karabinkiem pod pachą) Co to? Wojna? Świetnie! (chce wręczyć fuzję pani Rarze) Najlepiej

sprawę roztrzygnąć radykalnie. Masz! Strzelaj! Winchester — system bębenkowy. Nastawiasz na małą muszkę i walisz bez ochyby!

Rara. Ellen! Nie żartuj! To jeszcze wypali!

Ellen. Nienabita! Dopiero odebrałam od rusznikarza.

Moryś. Bywały już wypadki i z nienabitą bronią! Proszę odwrócić odemnie tę lufę!

Ellen. A poddaje się pan?

Moryś. Poddaję się! Mam zginąć — teraz, kiedy mi rokują taką świetną przyszłość? Wolę raczej hańbę!

Ellen. I odwołuje pan to, co pan powiedział?

Moryś. Odwołuję.

Ellen. A co pan powiedział?

Moryś. Nie wiem. Słowo daję — nie wiem. Rzuciłem jakiś aforyzm...

(Stefanja z imbrykiem — woda gorąca)

Stefanja nie wie, co ja powiedziałem? Ogromnie mi pamięć słabnie w ostatnich czasach.

Ellen. A o tem, że idziemy do Frydlądów i że mamy ważną naradę z panem Derką — pamięta pan?

Moryś. Terme de Caracalla! — zapomniałem!

Ellen. (wodzi za nim lufą karabinu) Niech pan natychmiast dokończy toalety — wdzieje smoking — usunie ten bujny zarost — ręce do góry!

Moryś (chwyta imbryk, usiłuje ręce podnieść do góry, zmierza ku drzwiom po lewej). Idę! Nie strzelać! Stefanja widzi, jak mnie traktują w tym domu? Stefanja będzie świadkiem w sądzie! (wychodzi)

(Stefanja znika w głębi)

(Po chwili słychać z pokoiku po lewej melodję jakiejś »Santa Lucia« i rumor przewracanych mebli)

Rara (wzdycha). Nie wiem, czy będę z nim szczęśliwa, Ellen...

Ellen. Z Morysiem? Przecież to taki miły chłopak.

Rara. Ale »letkiewicz« — pusta głowa. Mężczyzna. Nie wiem, czyś czytała »Stanowisko kobiety« i »My i oni« Dyszkantówny?

Ellen. Nie. Na wsi czytam przeważnie dzieła o hodowli ryb i studjuję pamiętnik Starego Gracza...

Rara. Dyszkantówna opisuje taki właśnie typ człowieka. Czy myślisz, że z nim można poważnie zgłębić jaką kwestję? Jakbyś

budowała na piasku! We Włoszech poznałam go na wylot! Czy myślisz, że on zwiedził porządnie choć jedno muzeum? Pogadaj z nim! Nie odróżnia późnego baroku od wczesnego renesansu. Nie wie, gdzie się urodził Coleoni — wszystko po nim spływa, jak woda po gęsi.

Ellen (czyści fuzję). Moja droga, tyś powinna była wyjść za mąż za Orgelbranda Mniejszego i za Larousse'a Ilustrowanego. Co kogo dziś obchodzi renesans? Świat się chwieje w posadach...

Rara. Dobrze! Zgoda! Spróbuj z nim pomówić o posadach! Czy wiesz, że on nie ma żadnych, ale to żadnych poglądów? Nie ma własnego zdania w żadnej kwestji?

Ellen. I tacy być muszą. Zrobi karjerę w dyplomacji.

Rara. Ależ on nie zna języków! Wyrzuca jakieś słowa bez związku! Spaghetti czy d'Annunzio to dla niego jedno i to samo!

Ellen. Wiesz? Daj mi go na wieś do Czajkowa. Będzie chodził w długich butach i maciejówce, będzie liczył sągi i sprzedawał ryby...

Rara. Nie. To nie dla niego.

Ellen. Dlaczego właściwie?

Rara. Jemu jest strasznie nie do twarzy w maciejówce...

Ellen. Zrobię to dla ciebie i pozwolę mu sprzedawać ryby w cylindrze...

Moryś. (wysuwa przez drzwi twarz namydloną) Jak się ma Lux, panno Ellen?

Ellen. Dziękuję. Linieje. Kazał się panu kłaniać.

Moryś. Cudowny piesek! Wesoły, inteligentny. Tylu idjotów jest na stanowiskach, a taki wyżeł marnuje się w psim stanie. U nas zawsze tak. A »Prosna«?

Ellen. Oźrebiła się. — Kto panu pozwolił w takim kostjumie pokazywać się pannie na wydaniu?

Moryś. Przepraszam. Stokrotnie przepraszam. Scusare, perdono, Catarro, Viareggio, Palazzo Barberini... (znika).

Ellen. Co ten człowiek mówi?

Rara (wzdycha). Groch z kapustą. Tyle pieniędzy na nic. Dwadzieścia tysięcy lirów! Mogliśmy z równym skutkiem zamiast do Włoch pojechać do Kaczego Dołu.

(Wuj Amilkar Frydląd. Miły, elegancki, wąsy podczernione, siwa bródka,

włosy szpakowate. Lakiery, bekiesza. Jakiś bukiecik owinięty w bibułę).

Frydląd. Dobry wieczór. Hołd, cześć, pozdrowienie! W przedpokoju ani wieszaka, ani gwoździa — nie mogłem przecie zawiesić bekieszy na okrągłych ramionach Stefanji.

(Manewruje bukiecikiem) To dla ciebie, Rara.

Rara. Dziękuję. Wuj jest szarmancki, jak zawsze.

Frydląd. Nina mówi to samo. Na wystawie inwentarza powinni mi dać nagrodę: ostatni galant w tym kraju. Cud natury! Ustępuje kobietom miejsca w tramwaju! Aportuje kwiaty, chustki, parasolki! Specjalność: savoir-vivre i grzeczność dla dam! Chryste Panie! Rara!

Rara. Co się stało?

Frydląd. Widzę chmurę na twem śniadem czole! I w jakim ty jesteś stanie, kobieto? Kolacja! Nina czeka! Derka czeka! Jak ty wyglądasz, nieszczęsna?

Rara. Za pięć minut będę gotowa.

Frydląd. Za pięć? Nie wierzę. Nim z tego kitla wyfrunie motyl — nim z tej poczwarki... wyrośnie kitel... coś mi się poplątało! W każdym razie musisz dziś być urocza!

Pomyśl: Derka! Potentat! Tak cię widzą, jak cię piszą.

Rara. Nie lubię pana Derki i nie dbam o jego zdanie.

Frydląd. Nie masz racji, dziecko. Nie możemy się na tym padole kierować sympatjami. Ludzie antypatyczni też mają prawa do życia, zwłaszcza, o ile mają grubsze pieniądze.

Idź i wróć jeszcze piękniejsza.

A propos! Gdzieście podzieli mój prezent ślubny?

Rara. Jest na górze. W sypialni.

Frydląd. Na górze? Poprostu na górze? Czeczotka?! A jeżeli tam sufit przecieka?

Rara. Kiedy nie przecieka, wuju. Komoda stoi pod oknem — w wykuszu.

Frydląd. W wykuszu? Idź, idź — zejdź mi z oczu!

(Rara wychodzi)

Wykusz! Zawsze mnie to do istnej pasji doprowadza. My, starzy, mieliśmy może zaściankową, przedawnioną moralność, ale mieszkaliśmy przynajmniej w domach nowoczesnych. Ci młodzi gnieżdżą się w starych ruderach na Starem Mieście, za to obyczaje sprowadzają najnowsze,

jazz-bandowe. Ellen, dlaczego Rara jest taka posępna?

Ellen. Jakieś sprawy małżeńskie. Powiada, że źle wyszła za mąż.

Frydląd. Aha. Lepiej tak, niż wcale. Nina twierdzi, że z Morysia jeszcze będą ludzie. Gdzież on jest?

Ellen. Przebiera się.

Frydląd. No widzisz. To zupełnie dorzeczny chłopak. Nie trzeba mieć w życiu żądań zbvt wygórowanych. Tylko nie wybredzać. Weź taką Dziewicę Orleańską — zmarła w panieńskim stanie. A ty czego się martwisz?

Ellen. Myślę, że trzeba wracać na wieś. Karjery już w tym karnawale nie zrobię...

Frydląd. Nic nie wiadomo. W życiu jest jak na polowaniu. Kto wie, może właśnie na twojem stanowisku najgrubszego dzika zobaczysz? Czekać! ani mru-mru — to cała filozofja.

Ellen. Miasto mnie męczy, panie Amilkarze. Tu się ludzie dopiero z gazet dowiadują, że słońce wschodzi. Kawiarnia, teatr, dancing, knajpa... Kultura jest wogóle strasznie nudna.

Frydląd. Masz rację, dlategośmy sobie sprowadzili murzynów.

Ellen. Poco ja tu siedzę właściwie? Mój piesek, Lux, więcej mnie interesuje, niż wszyscy, o których w gazetach piszą. Stary włodarz jest dla mnie bardziej zajmujący od prasy porannej.

Frydląd. Masz słuszność, ale i ja mam słuszność. Nie możesz wciąż siedzieć sama wśród chłopów. Jako twój opiekun, »były« — co prawda, muszę osadzić wreszcie jakiegoś dziedzica na Brzezinach, Głuszynie i piachach przyległych. Chociaż sam — lubię wieś i rozumiem, że mieszczuchy cię nudzą. Ptaszki, krówki, owce — mam ogromny pociąg do tych rzeczy. W oborze zbiera się od wieków to samo towarzystwo, ale przynajmniej wiem, z kim mam do czynienia; to nie dancing, jak w mieście.

Ellen. Fuzyjkę mi naprawili, gajowy mi pisze, że zwierzyny w lasach kraszewickich — zatrzęsienie... Jadę!

Frydląd. A konferencja z Derką? A tartak? Nina by ci nigdy tego nie darowała! Opowiadanie! Nie możemy się wiecznie rządzić

fantazją! Ja sam wolę dzika w kniei, niż Derkę w salonie. Ale Derka napewno da pieniądze. Dowiedziałem się od kelnera w Brystolu, co on najwięcej lubi... Dziś są kołduny na kolację... Sprawy zaś ekonomiczne, ze względu na pokolenia przyszłe... Wogóle — nie filozofujmy! Gadu, gadu, a tam w »wykuszu« napewno na czeczotkę kapie! (wychodzi).

(Ellen jest przez chwilę sama. Ogląda rupiecie, porozrzucane w pokoju, bawi się jakiemś »diabolem«. Po chwili — Stefanja).

Stefanja. Proszę pani dziedziczki — jakiś pan przyszedł z pieskiem.

Ellen. Cóż ja na to poradzę, kochana Stefanjo.

Stefanja (puka do drzwi po lewej) Proszę pana, jakiś pan przyszedł.

Głos Morysia. Posadź go na krześle, niech czeka...

Stefanja. To co mam zrobić, proszę pani?

Ellen. Idź za popędem serca.

Stefanja. ...Wprowadzę go tu, do salonu, a pieska niech zostawi w przedpokoju.

Ellen. Owszem. Możesz też postąpić wręcz odwrotnie — pieska wprowadź do salonu, a pan niech czeka w przedpokoju. Mnie jest doprawdy wszystko jedno.

Stefanja. (idzie ku drzwiom, coś mówi. Wreszcie) Proszę! (wychodzi).

(Tender. Twarz ogorzała, spalona słońcem. Strój dość dziwaczny: zupełnie porządne ubranie podróżne, a na niem — kożuch, w którym wygląda, jak uchodźca ze wschodu. Niedużą walizkę, oklejoną znaczkami i reklamami hotelowemi, wtacza wraz z sobą. Kłania się).

Tender. Nazywam się Tender.

Ellen (kiwa głową). Niech pan siada.

Tender (rozgląda się po pokoju, siada najpierw na poręczy fotela, na którym leżą jakieś makaty. Wreszcie stawia »na sztorc« własną walizkę. Siada). Dziękuję pani. (pauza) Mróz!

Ellen. Mróz. (bawi się znów karabinkiem)

Tender (trochę zaniepokojony szczękiem zamka przy karabinie). Pani chce do mnie wypalić z tej mitraljezy? Proszę. Nie będę miał żalu... Życie mi obrzydło.

Ellen. Czy pan aby mówi zupełnie szczerze?

Tender. Zawsze mówię szczerze, proszę pani. Pocóżbym inaczej usta otwierał?

Ellen. Dobrze! (mierzy — wreszcie mówi do drzwi po lewej) Morysiu, tu ktoś czeka

na ciebie. Powiada, że mu życie zbrzydło.

Głos Morysia. Tnagrdtakną... (wogóle coś, czego zrozumieć nie można)

Ellen. Słyszał pan?

Tender. Słyszałem. Zupełnie wyraźnie słyszałem: tnagrdtakną. Nic nie rozumiem. To pewnie moja wina. Widocznie ucho moje odzwyczaiło się od tych dźwięków. Osiemnaście lat nie byłem w kraju.

Ellen. Pan wraca ze Wschodu?

Tender. Nie, proszę pani. Z Zachodu. Panią pewnie w błąd wprowadza ten kożuch? Kupiłem go od tragarza na stacji Dziedzice... a właściwie zdobyłem go drogą zamiany. Dałem za to palto jesienne i pled.

Ellen. Wątpię, czy pan zrobił dobry interes.

Tender. Doskonały! Ja nigdy złych interesów nie robię. Ten człowiek jest pewien, że mnie nabrał. Jest mi wdzięczny, dzieciom jeszcze będzie opowiadał, jakiego głuptasa spotkał. Będzie miał temat do rozmowy, życie jego nabierze sensu — a mnie to kosztuje kilka dolarów.

Ellen. Pan przyjechał pociągiem porannym?

Tender. Tak, proszę pani.

Ellen. Wolno wiedzieć, skąd?

Tender. Wolno, owszem. Zewsząd.

Ellen. Aha.

Tender. Pani sądzi, że ja tak umyślnie zbywam panią niczem, przez opryskliwość, prawda?

Ellen. Prawda.

Tender. Otóż ja mówię zupełnie szczerze. W meldunkach hotelowych są takie trzeźwe i rozsądne rubryki: nazwisko, zawód, gdzie się urodził, skąd przyjeżdża, dokąd się wybiera. Ilekroć napiszę obok mego skromnego nazwiska cztery razy: nie wiem, nie wiem, nie wiem, nie wiem — portjer uważa mnie za idjotę albo żartownisia.

Ellen. Ma trochę racji. Gdzieś się pan przecie musiał urodzić. W jakiejś miejscowości tego globu musiał pan przyjść na świat.

Tender. Właśnie, że nie!

Ellen. Nie?

Tender. Przyszedłem na świat nieopatrznie w punkcie ruchomym: w wagonie bezpośrednim Warszawa-Wiedeń! Odtąd zaczyna się moja martyrologja. Po traktacie wersalskim cztery państwa europejskie toczą

o mnie spór. Jestem w tej samej przykrej sytuacji za życia, co Homer po śmierci.

Ellen. Na jedno z tych państw będzie się pan musiał wreszcie zdecydować...

Tender. Da pani wiarę — nie mogę! I to pachnie i to nęci. Przytem — Europa jest taka maleńka w epoce samolotu i radjotelefonu! Z Paryża do Kalisza jest dziś właściwie bliżej, niż wczoraj z Woli na Mokotów. Dlaczego poważni ludzie od człowieka żądają, żeby przez całe życie był — dajmy na to — mieszkańcem ulicy Koszykowej i tylko tubylców z lewego trotuaru uważał za swoich rodaków?

Nigdzie się nie urodziłem, nigdzie stale nie mieszkam, trudno mi powiedzieć, skąd jadę i dokąd mnie jutro wiatr zaniesie... Co się zaś tyczy zawodu...

Ellen. Zawodu też pan nie ma?

Tender. Tu znowu jest inny kłopot. W tej rubryce mógłbym wypisać cały słownik kieszonkowy. Byłem brukarzem we Florencji, bagażowym w Marsylji, bednarzem w Jugosławji, buddystą w Monachjum — to na literę B! A na

tem się przecież alfabet nie kończy. Ja pani nie nudzę?

Ellen. Nie. Pan jest tak zwany oryginał. W mieście co drugi człowiek jest albo genjusz, albo oryginał. Na wsi pasałby pan krowy w zagajniku i wszystko byłoby w porządku.

Tender. Krowy? Zagajnik? Czasem marzę i o tem... Siedzę spokojnie pod parasolem, czytam powieść obyczajową i uważam, żeby bydło w szkodę nie wlazło... Owszem... W tem coś jest... Niestety! Bazylika w Rzymie ma też pewien urok i — nie mogę się zdecydować. Jak można życie kilku krowom poświęcić, kiedy w Wenecji po kanałach tajemnicze światła się ślizgają, w miastach portowych holenderskich żagle, maszty jak las olbrzymi się chwieją, na Amsteli i nad Tamizą... marynarze... Przepraszam, dlaczego pani się uśmiecha?

Ellen. Pan to tak opowiada, jakby pan Londyn zbudował i Wenecję wymyślił. Ja też tam byłam.

Tender. Ale pani tam była jako turystka, jako

gość hotelowy — a ja. I gondoljerem byłem i palaczem na statku. To moja własność wszystko! Dla mnie Pałac Dożów stawiano, dla mnie Tower wybudowali... Dla mnie Forum Rzymskie odkopano...

Ellen (gwiżdże nagle, udając lokomotywę kolejową). Fiuuu! Rewizja celna! Wysiadać!

Tender. Co to znaczy, proszę pani?

Ellen. Toczymy taką rozmowę, jakbyśmy zawarli znajomość w wagonie kolejowym. Przypomina mi się lokomotywa, stacja, konduktor.

Tender. Jednem słowem — mój kraj rodzinny. Widzi pani — nie mogę ukryć swego pochodzenia.

Ellen. I tak pan każdemu o niem opowiada? Przecież pan mnie widzi po raz pierwszy w życiu?

Tender. Spieszę się, bo nie wiem, czy panią po raz drugi zobaczę.

Głos Rary (z przyległego pokoju). Ellen! Jesteś tam?...

Ellen. Jestem, Rara!

Tender. Rara? Aha! (wyjmuje notes) Rara.

Ellen. Klara. My ją nazywamy zdrobniale. Dla obcych jest Klarą.

Tender. Dziękuję. Nie wiedziałem, jak jest na imię mojej najlepszej przyjaciółce... Klara, Rara.

Ellen. Więc pan właściwie ją zna, nie Morysia?

Tender. Nie i Morysia też. Oczywiście. Poznałem ich oboje z najlepszej strony — jestem im szalenie dużo winien. A ponieważ przywykłem długi swoje płacić... (wyjmuje portfel) — więc przyjechałem, żeby się uiścić...

(Od strony przedpokoju gwar głosów i jakiś ponury warkot)

Co się stało?

Ellen. To głos wujaszka.

Tender. A? Wujaszka... Rozumiem. Wujaszek! — jakież to piękne słowo!

(Frydląd wpada w popłochu)

Frydląd. Okropność! Widział kto coś podobnego! Co za czasy! co za ludzie!

Ellen. Czeczotka?

Frydląd. Skąd czeczotka! W przedpokoju jakiś obrzydliwy obłocony psiak tarmoci moje boty i jeszcze na mnie warczy.

Stefanjo! Hop! hop! Na miły Bóg — kto to bydlę tu sprowadził?

Ellen. Domyślam się! To pewnie piesek tego pana!

Frydląd. A któż u licha jest ten pan?

Tender. Tender, Gabryel Tender.

Frydląd. To mało, proszę pana. To bardzo mało.

Ellen. Serdeczny przyjaciel Rary i Morysia. Buddysta...

Tender. ...i dłużnik, proszę pana, przedewszystkiem dłużnik, który swój dlug chciałby jaknajprędzej spłacić... (portfel).

Frydląd. Frydląd, bardzo mi przyjemnie. Moryś ma własnego dłużnika? Ogromnie się cieszę! Nie mówiłem, że z niego Stinnes wyrośnie?

Bardzo pięknie! Kochany panie, niechże pan gwizdnie na tę tam kanalję i odbierze moje boty. Jak się pański kudłacz nazywa?

Tender. Nie wiem. Gwizdnąć mogę, ale obawiam się, że nie będę miał żadnego wpływu na tego kundla.

Frydląd. Jakto, panie, jakto? Pan nie wie, jak się pański pies wabi?

Tender. Rzecz polega na tem, że to nie mój pies, proszę pana. Spotkałem w okolicy dworca, dziś rano, takie biedne zmaltretowane

zwierzę warszawskie, kupiłem mu salcesonu i odtąd chodzi za mną... Przepraszam... Spróbuję... (wychodzi).

Frydląd. (patrzy, mruga powiekami) Więc któż to jest — niech się dowiem?

Ellen. Tender. Gabrjel Tender.

Frydląd. Wiem, że Tender, ale co zacz? Stróż nocny? Uchodźca?

Ellen. Przyjechał z zagranicy. Chce oddać jakieś pieniądze Polichnowskim. Jakiś ich przyjaciel serdeczny.

Frydląd. Pieniądze chce oddać? Ano, to tak mi mów! Nie można go zrażać, interes przedewszystkiem. Tender, czy nie Tender — widać, że porządny człowiek (pochyla się nad walizką Tendera, czyta etykietę hotelową) »Trieste — Hotel Continental«. No, zawsze coś jest! »Vienna — Hammerand«... (Tender wraca po krótkiej walce z przedpokoju. Trzyma szczątki botów w ręku — składa je na fotelu).

Tender. Załatwione. Mówiłem do niego najsłodszemi wyrazami. Nazywałem go Hektorem, Cezarem, Markiem Aureljuszem... Ale dopiero przy wyrazie »Łobuz« zaczął merdać ogonem. Proszę!

F r y d l ą d. Dziękuję. Jak pan tu pobędzie dłużej, to pan będzie zaczynał od wyrazu: łobuz. Kochany panie — Tender, prawda? Czy pan czasem nie miał krewnych w Żyrardowie?

T e n d e r. Szwendam się po świecie od tylu lat... Nie wiem, czy wogóle mam krewnych.

F r y d l ą d. Ma pan ich napewno. A jeżeli ich pan ma — żywych albo umarłych — to stary Frydląd musi ich znać. Ten w Żyrardowie nazywał się, co prawda, Tenkler... Niech pan siada.

T e n d e r. Pójdę sobie już, proszę pana. Nie chciałbym się narzucać...

F r y d l ą d. Mowy niema! Nie puszczamy pana! Prawda, Ellen? Dłużnik! Dłużnik, który sam odnosi pieniądze! Z Wiednia! Moryś by nam nigdy tego nie darował!

T e n d e r. Teraz, kiedy już znam drogę — przyjdę innym razem.

F r y d l ą d. Nie, drogi panie — interes to interes. Musi pan na Morysia zaczekać.

T e n d e r. Jechałem dziewiętnaście godzin koleją i — co gorsza — trzy godziny dorożką. Objechałem czternaście hoteli...

F r y d l ą d. Głupstwo! Wszystko głupstwo.

Tender. Cały mój bagaż (pokazuje walizkę) wożę ze sobą. Ja dotąd nigdzie nie mieszkam!

Frydląd. To się świetnie składa! Tu będzie pan mieszkał! Prawda! Ellen? Od czego te dzieciaki mają pokój gościnny? Pan jest przyjacielem Polichnowskich, pan jest z Morysiem w stosunkach handlowych — zostaje pan u nich na kwaterze i już! Czytałem nalepki na pańskiej walizce! Triest, Pontebba, Wiedeń, Engadin — pan musi być strasznie zmęczony. Jak myślisz, Ellen? Mówże coś wreszcie!

Ellen. Nie możemy pana Tendera w ten sposób aresztować. Może ma pilniejsze sprawy...

(Tender wstaje)

Frydląd. Nie ma pilniejszych spraw! (Tender siada) Doskonała idea! Tu się pan ulokuje! Uważa pan, te dzieciaki całą ruderę kupiły — z wykuszem! Okolica jest niebezpieczna, podejrzana, Stare Miasto! — Pozyska pan sobie wdzięczność całej rodziny, jeżeli pan się tu, choćby na krótki czas, osiedli. (biega od drzwi do drzwi) Moryś! Rara! Moryś! Mamy nareszcie pierwszego lokatora!

Tender. (do Ellen) Co ja mam robić, proszę pani? Iść? zostać? Zwyczaje salonowe — to moja najsłabsza strona.

Ellen. Niech pan zostanie.

Frydląd. (przy drzwiach po lewej) Moryś! Chodźcie! Ucieszysz się!

(Wyciąga Morysia z pokoju. Zaciera ręce) No i co? Co ty na to? Nie witasz się? (Pauza) Tender.

Moryś. (osłupiał, mina niewyraźna) Polichnowski, bardzo mi przyjemnie.

Frydląd. Jakto »Polichnowski, bardzo mi przyjemnie«? Panowie się nie znają?

Moryś. My?... A tak, tak. Owszem... przypominam sobie... jakby przez mgłę...

Tender. Nie, drogi panie, nie łudźmy się. Nie przypomina pan sobie...

Moryś. Ależ naturalnie... ja mam pamięć fenomenalną. Widzieliśmy się... zaraz...

Tender. Pardon! Ja pana napewno nie widziałem: Spałem wtedy, jak suseł.

Moryś. Jak suseł?

Frydląd. Suseł? (szeptem do Morysia) Bój się Boga, co to za człowiek? Oddałem mu wasz pokój gościnny... Kto to?

Moryś. (szeptem)... pojęcia nie mam. Może Rara?...

(Właśnie wpada Pani Rara. Coś tam przy sukni się nie chce dopiąć)

Rara. Ellen, najdroższa moja... Tu chyba brak haftki:... O, przepraszam!

Frydląd. Pan Tender. Wiesz przecie, Tender?

Rara. Bardzo się cieszę. Skoro pan jest przyjacielem wuja Frydląda — jest pan eo ipso i naszym przyjacielem. Zabieramy pana na kolację, prawda, wuju?

Ellen (parska wreszcie śmiechem). Intryga, jak na maskaradzie. Pan Tender tu dopiero poznał wuja Amilkara. Pan Gabrjel jest waszym serdecznym przyjacielem!

Rara. Naszym?

Tender. Tak jest, proszę pani. Pod jednym warunkiem...

Moryś. Wszystkie warunki z góry akceptuję!

Tender. Pod warunkiem, że to państwo mieszkali tego roku w maju w hotelu »Porta Rossa«...

Moryś. Gdybyśmy nawet nie mieszkali w tym hotelu, to gotów jestem tam zamieszkać — jeżeli to ma mi zyskać pańską przyjaźń...

Tender (do Ellen) Pewnie znów jakieś głupstwo palnąłem?

Ellen. Nie! Rara, gdzieście mieszkali tego roku w maju?

Rara. To bardzo łatwo sprawdzić (biegnie do kufra i czyta po pauzie — etykietę) Firenze — Hotel Porta Rossa Centrale!

Moryś. Oddycham! Wszystko się co do joty zgadza! Panie, jesteśmy przyjaciółmi. Czem mogę panu służyć?

Tender. Nie, drogi panie. Teraz na mnie kolej. Przejechałem pół Europy wpoprzek, aby państwu się czemś przysłużyć. Bo ja, proszę państwa, nie uznaję długów wdzięczności. Dług wdzięczności to dług honorowy... to trzeba wyrównać.

Po pierwsze — proszę (wyjmuje kilka papierków i monetę).

Moryś. Cóż to jest?

Tender. Piętnaście lirów i pięćdziesiąt soldów. Dług...

Frydląd. Pięć złotych?

Moryś. I dla takiej sumy pan się fatygował osobiście?

Frydląd. Z Triestu?

Tender. Suma jest w tej chwili, na pierwszy rzut oka rzeczywiście drobna. Ale nie była drobna dla mnie wtedy, kiedy mi ją pań-

stwo rzucili do kapelusza. Nie uratowała mnie od śmierci głodowej — bo zarabiałem nieźle, jako brukarz, ale uratowała mnie od melancholji.

Moryś. Nic nie rozumiem. Myśmy pana uratowali? Kiedy? Gdzie?

Tender. Przypomina pan sobie Fiesole?

Moryś. Fiesole? Fiesole?

Rara. Okolice Florencji. Citta di Fiesole.

Moryś. Te drobniejsze miasta włoskie to wydział mojej żony. Rara, czy my pamiętamy Fiesole?

Rara (szybko) Miasto to było już w czasach bardzo dawnych rezydencją biskupią. 3 kilometry i 308 metrów od Porta San Gallo, za rogatką na wzgórzu malowniczem. Plac Wiktora Emanuela. Katedra. W pobliżu cmentarza ruiny starożytnego amfiteatru rzymskiego — Antico Amfiteatro Romano.

Moryś. Tyle wiemy o Fiesole, proszę pana.

Rara (monotonnie). Ruiny te odkrył baron Schellarsheim...

Moryś. Właśnie. Barona pamiętam doskonale... Wysoki, blondyn...

Rara ...w początkach wieku dziewiętnastego.

Moryś. W każdym razie — barona sobie przypominam...

Tender. Hm... Wywarłem — czemu się zresztą nie dziwię — mniejsze wrażenie, niż baron.

A jednak wtedy, w owo ciepłe popołudnie majowe zwrócili państwo uwagę na biednego obdartusa żebraka, który spał w pełnem słońcu na stopniach teatru rzymskiego...

Rara. Zaraz! Pan spał wtedy w Teatro Antico? Pan to wie napewno?

Tender. Tak. Rzecz przyzwyczajenia, proszę pani. Ja zawsze zasypiam w teatrze — nawet wtedy, kiedy wiem, że w nim od lat z górą tysiąca nie było przedstawień...

Moryś. Mnie się zdaje, że to jakieś nieporozumienie. Gdybyśmy pana spotkali we Włoszech, to pan by figurował w albumie mojej żony. Mamy tam wszystko, proszę pana. Zdejmowaliśmy muły, katedry, makaron — mucha się nie mogła przemknąć, a cóż dopiero dorosły człowiek...

(Rara szuka na stole, wybiega do drugiego pokoju)

Tender. Ręczę, że jestem w albumie! Drzema-

łem sobie w najlepsze, rozmarzony słońcem i ciszą i nagle słyszę: Patrz, Morysiu, jaki typowy, jak z obrazka wycięty, lazaron włoski! Byłem wtedy tak życiem zmęczony, że mi się nawet powiek podnieść nie chciało. Usłyszałem jeszcze szczęk »kodaka« — a kiedym się wreszcie obudził na dobre — znajduję w meloniku moim te... piętnaście lirów, 50 soldów... Jałmużna...

Moryś. Przepraszam pana bardzo...

Tender. Za co, drogi panie? Ja już nieraz żyłem z datków osób litościwych...

Frydląd (do Ellen, przeciągle) Żebrak...

Tender. Tylko, że w danym wypadku popełniłem mimowoli — nadużycie. Te pieniądze nie należały mi się wcale!... Miałem płatną posadę. Pracowałem we Florencji jako pomocnik brukarza — układałem flisy w przedsionku kaplicy »dei Depositi«.

Frydląd (jeszcze bardziej przeciągle) Brukarz...

Moryś. Drogi panie, cieszę się z wizyty pańskiej, ale doprawdy... Trzeba było te pięć złotych wręczyć któremu z kolegów — pardon! — odesłać pocztą...

Frydląd. Właśnie! Od czegóż jest poczta?

Tender. Nie mogłem takiej sumy powierzać listonoszom! Te pieniądze dodały mi wtedy ochoty do życia, wprawiły mnie w dobry humor. Cóż mi z tego, że ich wartość nominalna jest niewielka? Każdy dług trzeba uczciwie zwaloryzować. Prawda? — Dlatego też szukałem państwa po wszystkich hotelach, aż wreszcie w »Porta Rossa« dowiedziałem się, oprócz nazwiska, że państwo są z Warszawy i że już wyjechali. Gdyby nie owo »patrz Morysiu« i tego bym się pewnie nie dowiedział. Ale po tej niteczce trafiłem do kłębka! Nie mogłem wtedy, niestety, opuścić Florencji, bo podwórko nie było jeszcze całkowicie wybrukowane...

Moryś. Naturalnie. Podwórko przedewszystkiem! Oczywiście! Cóż pan teraz zamierza, drogi panie? Jakie są pańskie plany na przyszłość najbliższą?

Tender. Postanowiłem skorzystać z uprzejmego zaproszenia. Zainstaluję się u państwa i postaram się w miarę możności uiścić z zaciągniętego długu wdzięczności...

Frydląd (tragicznym szeptem) Maurycy, nie daj się! To pretekst! To podstęp! To pułapka...

Moryś. Zaraz wuju... nie mogę tak obcesowo... (głośniej) Uiścić, powiada pan? Mam wrażenie, że to jest załatwione.

Tender. Pozornie, proszę pana, pozornie. W istocie zaś — pan mi oddał przysługę — jestem panu winien więcej, niż marne pięć złotych... Rzetelność w rachunkach przedewszystkiem. Ząb za ząb, oko za oko.

Moryś. Jaki ząb, drogi panie? Przypuśćmy, że to doprawdy ja panu rzuciłem owe groszaki do kapelusza...

Tender. Napewno pan!

Moryś. Dobrze! Kwotę odebrałem — kwituję — nic mi się więcej nie należy.

Tender. Nie, panie! Jeżeli prawo za małą kradzież karze równie surowo, jak za dużą kradzież — to i mały dobry uczynek musi być czasami wynagradzany, jak duże dobrodziejstwo...

(W przedpokoju jakiś głośny harmider)

Moryś. Co to?

Ellen. Stefanja walczy z Markiem Aureljuszem!

Tender. Przepraszam (zmierza ku drzwiom).

Moryś. Panie, niech mi pan powie przynajmniej, jak nas pan odszukał w tem mieście?

Tender. O, jestem tu już od czternastej... Te-

lefonowałem zaraz ze stacji do biura numerów... (wychodzi)

Moryś. Telefonował do biura numerów? Jakiś bardzo sprytny człowiek!

Frydląd. Bardzo sprytny? Szalenie! djabelnie sprytny! Nie rozumiesz, kędy cię wiodą? Nie słyszałeś: ząb za ząb? To wysłaniec camorry! to jakaś vendetta! Moryś, przypomnij sobie: tyś musiał popełnić jakąś zbrodnię na Sycylji!

Moryś. Na Sycylji? Zaraz. Niech sięgnę pamięcią... Która to była Sycylja? Rara! Moje dziecko! Rara!

(Rara z albumem)

Rara. Jest! Znalazłam! Patrzcie.

Frydląd (chwyta album) To? Nigdy w życiu! To jest »umierający gladjator« ale nie Tender!

Rara. Aparat nastawiłam fałszywie, ale widać przecie wyraźnie... O! cokół — amfiteatr — lazaron włoski...

Moryś. Mnie się zdaje, że wuj ma rację... Koń — ja tu widzę konia. To jest »Mojżesz« Michała Anioła... Omyliłaś się, kochanie!

Frydląd. Przyjechał z Włoch, żeby oddać pięć złotych! Oczywiście wszystko blaga! Kar-

bonarjusz — napewno karbonarjusz... Boty mi zniszczył. Anarchista... Co my z nim teraz poczniemy? Trzeba dać znać do policji.

Moryś. Co tu policja poradzi? On jest przecie pełen jaknajlepszych zamiarów:

Frydląd. Naturalnie! Potrzebna wam była ta dobroczynność, jak dziura w moście. Zawsze to samo powtarzam: co nas gubi? — delikatność uczuć!

Rara. Więc co począć, wuju?

Frydląd. Oczywiście! teraz do mnie po radę! Wszystko na mojej głowie! Trzeba go dyplomatycznie stąd wyprawić. Ellen się tem zajmie! Powiesz mu — wszystko jedno, co mu powiesz! Boże, kiedy sobie pomyślę, że my tu czas tracimy, a tam Derka czeka! Każda minuta to — miljardy! Uciekajmy przez schody kuchenne! Rara! Moryś! moi drodzy, pocichutku, tędy — tak będzie najlepiej! (pcha ich ku drzwiom po lewej)

Moryś. Dziwne stosunki. Żeby człowiek z własnego domu musiał się wykradać!

Frydląd. Najwidoczniej uwiodłeś jakąś florentynkę — teraz masz! To zemsta rodowa!

(wychodzą). Nie wykręcisz się, przyjacielu! (T e n d e r — wszedł, rozgląda się ze zdziwieniem. Obraca w palcach jakiś dużych rozmiarów klucz)

(Po chwili — E l l e n. Wraca pospiesznie).

T e n d e r. A! to pani! Służebnica powierzyła mi ten klucz od drzwi wejściowych. Bardzo się cieszę, że tu mam mieszkać...

Poproszę panią o pewną informację. Kodeks towarzyski to moja pięta Achillesowa. Obracałem się w tak różnych sferach, że mi się wszystkie zwyczaje ludów europejskich poplątały. Otóż — czy ja się aby nie wpraszam? nie narzucam? Czy ja nie jestem natrętny?

E l l e n. Owszem. Ale to ma pewien wdzięk.

T e n d e r. Więc jak pani radzi? Co zrobić z tym kluczem?

E l l e n. Nie wiem. Niech pan uważa dobrze: Idziemy na kolację do Frydlądów. Amilkar Frydląd — b. prezes rady nadzorczej... Aleje Jerozolimskie... — Adres znajdzie pan — swoim zwyczajem — w biurze numerów.

Do widzenia! (wychodzi)

T e n d e r (woła za nią) Jakto »do widzenia«? Jak pani to rozumie? Co ja mam począć? Jestem tu dopiero trzy godziny w tem mieście. Jak ludzie mogą zostawiać tak bez opieki człowieka, który nie zna »savoir-vivre'u«:

II. WIECZÓR.

Mieszkanie — przedwojenne jeszcze — państwa Frydlądów. Salon. W głębi drzwi do przedpokoju i drzwi rozsuwane, które ten solidnie urządzony pokój — łączą z jadalnią. W tej jadalni ujrzymy za chwilę (po rozsunięciu podwoi) stół, wdzięcznie zastawiony i rzęsiście oświetlony. W saloniku, o którym mowa, prócz obrazów, dywanów, pianoli i — po chwili — dziwnej szafki, mieszczącej przenośny telefon (rzecz, przywieziona specjalnie z Paryża) zwraca uwagę stół, prowizorycznie tu sprowadzony, na którym — owoce, ciasta, talerze, butelki, maszynka elektryczna do kawy, papierosy. Frydlądowie należą do dawnej — nieco zubożałej — burżuazji warszawskiej. Mają pewne narowy arystokratyczne, pogardę dla »nowych ludzi«, ale starają się płynąć z prądem czasu — i to we wszystkich kierunkach.

Pani Nina rozmawia właśnie z panem Derką. Oboje usiłują ukryć pewne zniecierpliwienie. Pani Nina przypomina nieco bohaterki dra-

matów salonowych z epoki minionej. Pan Derka ubrany jest świetnie (smoking, kamizelka koloru »electrique«, niemożliwie wydłużone lakiery) — ale trochę za elegancko. Po pokoju kręci się jakiś wypożyczony od sąsiadów — lokaj i co chwila szepce coś głośno pani Ninie. Są to ostatnie biuletyny z kuchni: rozbef się przypala, co począć z kartoflami? Atmosfera jest wogóle przesycona elektrycznością. Kolacja się spóźnia, ale pani Nina usiłuje panować nad sytuacją.

Nina. ...I jeszcze o coś chciałabym się pana spytać, panie Derka, panie dyrektorze...

Derka. Słucham, słucham (patrzy na zegarek)

Nina. Po szwedzku pan umie?

Derka. Niby dlaczego? Dlatego, że mam przedstawicielstwo hufnali Malcolma? Pani droga, gdybym ja chciał wszystkiemi językami tych krajów parlować, skąd moje nity, gwoździe i hacele pochodzą, to bym musiał być sprytny, jak nocny portjer w hotelu... (patrzy raz jeszcze na zegarek) Nno, ósma!

Nina (prędko). A... żona jak się miewa? Przepraszam, nawet nie wiem napewno, czy pan wogóle jest żonaty?

Derka. Owszem, owszem. Żonaty, ale to — przejściowe...

Nina. Jakto, nie rozumiem?

Derka. Mam tam jakąś Balbinę w Złoczowie, ale niema o czem gadać. Ona, proszę pani, nosi dwie pary pończoch naraz: jedwabne na wierzch, a fil d'ecossowe pod spód.

Nina. Dlaczego? (do lokaja) Co? Nie słyszę! Proszę zawsze na prawe ucho. Pan dyrektor coś mówił?

Derka. O Balbinie. Powiada, że ją stać na to. Sto razy już były scysje. — Dom oddam, wyznaczę pensję dożywotnią, rozwiodę się z babą. Niech sobie nosi nawet owijacze.

Lokaj, (głośniej, ale szeptem). Musimy podawać, proszę pani. Kociołkowa mówi: rozbef na nic. Za rybę nie ręczy.

Nina. (do lokaja). Niech odstawi. I proszę tu przynieść telefon z jadalni. (Lokaj wychodzi i po chwili wraca z ową dziwaczną szafką z telefonem. Stawia ją na stoliku, włącza kontakt i wychodzi).

Nina. (do Derki). Czemuż pan małżonki nie zabierze kiedy do Warszawy? Rozerwałaby się...

Derka. Poco jej tam Warszawa. Ona w Złoczowie ma lepsze towarzystwo. Wyprawia takie środy: Napoleon u niej bywa, cesarzowa Elżbieta, jakiś książę indyjski, Rasputin...

Nina. Nie żartujmy sobie z tych rzeczy, panie Derka. Uczeni różnie o tem mówią. Nie wiemy nic...

Derka. Pewnie, że nie. Ja naprzykład nie wiem, o czem Napoleon może gadać godzinami z moją żoną. Ja jej po trzech słowach mam dosyć... (znów patrzy na zegarek) Czas płynie...

Nina. Skoro już mówimy o rzeczach nadprzyrodzonych... Da pan wiarę? U Pęcwałowiczów — wie pan, ten były wiceminister skarbu? — mieliśmy niedawno takie zdarzenie na raucie: Materjalizuje się Turek, sułtan Abdul-Hamid, i przepowiada wypadki straszne: upadek gabinetu, kradzież w domu...

Derka. Po co tu Turek, proszę pani? Upadek gabinetu, kradzież w domu? — To się i tak codzień zdarza. Turek? wystarczyłaby zupełnie zwyczajna narodowość. Ale, właśnie. Czy tam aby zatrzask w przed-

pokoju zamknięty? Bo — nie chwaląc się — moje futro, to nie chy-chy! W Wiedniu kupiłem, bobry, »kamczatka«, kołnierz prawdziwe foki...

Nina. Niech się pan nie obawia. Na czem to stanęliśmy?

Derka. Stanęliśmy na tem, że poproszę panią o bułkę z szynką i uciekam.

Nina. Ależ, panie Mieczysławie, w tej chwili siadamy do stołu. Nie rozumiem doprawdy, co się stało? Powiedziałam wyraźnie Amilkarowi... On jest taki zapracowany w ostatnich czasach... Pan pozwoli, zatelefonuję do Lourse'a... (biegnie do szatki, wyjmuje telefon). Może jaki wypadek?

Derka. Niechże pani się nie trudzi. Jeszcze telefonować przed kolacją. — to nam do reszty odbierze apetyt. Czekajmy. U nas tak we wszystkiem. A jeszcze jeżeli o kolację chodzi, jesteśmy punktualniejsi, niż w interesach.

Nina. (nagłe ożywienie). A propos interesów. Mogłabym panu — bo pocóż czas tracić, nieprawdaż? — naszkicować w ogólnych zarysach, o co chodzi. Nie znam się wprawdzie na sprawach finansowych.

Derka. Nie ma się pani czego wstydzić — jest nas takich więcej. »Tabaka w rogu« to największe bogactwo naturalne tego kraju.

Nina. Właśnie dlatego jesteśmy zdania — ja i Amilkar — że wszyscy powinni stanąć do pracy, ramię przy ramieniu. Musimy się podnieść ekonomicznie...

Derka. Ja się już podniosłem, proszę pani.

Nina. Wiem, ale nie należy marnować ani jednej okazji, ani jednej siły. Weźmy naprzykład takiego Morysia Polichnowskiego. Miły chłopak, wykształcony, zna języki — a jednak — jego zdolności leżą odłogiem. Na posadzie się nudzi, handel go nie bawi...

Derka. Dobrze, ale co ja na to poradzę?

Nina. Zaraz, panie Mieczysławie! W tej chwili panu wszystko wyjaśnię. Otóż któregoś wieczoru, szukając dla Morysia właściwego zajęcia, zwróciliśmy — ja i Amilkar — uwagę na to, że kraj nasz wcale nie posiada kolonji... Portugalja ma coś, taka Holandja, a my nic. Dlaczego?

Derka. Pani się mnie pyta? Nie wiem.

Nina. Docieram do jądra sprawy. Czyby nie można stworzyć konsorcjum — Moryś

byłby świetnym akwizytorem takiego towarzystwa — któreby nabyło jakiś kraj w Afryce: Kamerun, Angolę. Jak pan sądzi? Prawda, że myśl jest doskonała?

Derka. Doskonała! Aktualna! Po co mamy sprowadzać obcych murzynów do jazz-bandu? Możemy mieć własnych.

Nina. Właśnie! Kamerun leży pod zwrotnikiem, ma klimat ciepły, kauczuk, drzewa kokosowe...

Derka. Jeżeli rzecz dojdzie do skutku — ma pani przed sobą pierwszego odbiorcę. Zamawiam loco Warszawa palmę i piętnaście kilo orzechów kokosowych...

Nina. Więc można pana wciągnąć na listę? Weźmie pan udział w takiem przedsiębiorstwie?

Derka. Nie.

Nina. Nie rozumiem! Dlaczego? Jakież pan ma objekcje?

Derka. Proszę pani, jeżeli Moryś się nudzi, to niech sobie kupi welocyped. Dlaczego ja mam mu kupować Kamerun?

Nina. I to pan mówi? Człowiek nowy? Natura zdobywcy i konkwistadora? Więc pana nie nęcą plany światoburcze? loty górne?

Derka. Owszem. Ale, jeżeli mam być zupełnie szczery: w handlu im lot górniejszy, tem plajta większa. Ja uznaję tylko małe objekty, proszę pani: hufnale, igły, sztyfty, spinacze.

Nina. Odmawia pan stanowczo?

Derka. Niestety. Tak. Każdy ma swoją dewizę, ja też. Gdyby mi pani zaproponowała trociciczki — owszem. Afryka — palmy kokosowe — nie! Mówią, że Krzysztof Kolumb całe życie biedę klepał.

Nina. Więc do czego my się mamy wziąć? Czem to życie wypełnić? Trociciczki i hacele? Jaki jest cel naszego istnienia?

Derka. Na to pytanie wolałbym odpowiedzieć — między deserem i czarną kawą.

Nina. Jeszcze chwila, panie Mieczysławie! A tartak mojej kochanej Ellen? A szosa do Lututowa?

Derka. Tartak panny de Verney, jej szosa i wogóle cała jej osoba żywo mnie interesuje. O co chodzi?

Nina (zaczyna dłuższą opowieść). W roku 1910 gubernator rosyjski Mordokwasow — dla powodów, których jako kobieta wyłuszczyć tu nie mogę — kazał sobie zbudować

szosę do leśniczówki w miejscowości Czempisz... Zakochał się poprostu w niejakiej Krzysi i zbudował sobie dojazd na koszt rządowy.

(Z przedpokoju od dłuższego czasu słychać głos Frydląda, który komenderuje: do jadalni! Odrazu do broni! Moryś, mój drogi, zajmij się butelkami! Drzwi się rozsuwają — Frydląd wchodzi z bukiecikiem dla pani Niny).

Frydląd. Jesteśmy! Czekamy! Państwo tak są zajęci rozmową, że o nas zapomnieli zupełnie. To dla ciebie, Nina (wręcza jej bukiecik). Herbst dla mnie specjalnie sklep otworzył. Kołatałem z kwadrans, ale mnie wpuścił.

Jednak człowiek jeszcze coś znaczy w tem mieście. Proszę, panie Derka (zatrzymuje go raptem). Ale! Wyobraźcie sobie, co za historja! Niech pan słucha!

Derka. Znowu historja? Przyznam się panu, że zapotrzebowanie moje pod tym względem jest pokryte sześciokrotnie.

Nina. Proszę o pańskie ramię, panie Mieczysławie. (Do Frydląda) Niedość, że się spóźniasz, ale przychodzisz właśnie wtedy,

kiedy nam się najlepiej rozmawiało... Przerwałeś poważną zasadniczą dyskusję!

Frydląd. Ale poczekajcie! Dajcie mi się wypowiedzieć! Gdyby nie dyplomacja naszej Ellen, kto wie, czybyśmy zostali przy życiu! Uważacie, najście domu! Niejaki Tender. Gabrjel Tender, brukarz z Florencji...

Derka. Skończmy najpierw z Mordokwasowem. Obawiam się, że mi się wszystko poplącze.

Frydląd. ...Otóż — przyjeżdża w kożuchu do Polichnowskich... z Włoch jakiś karbonarjusz... i ni stąd ni zowąd... powiada, że jest Tender... na tej zasadzie wkracza — bez pardonu...

(Derka truchtem biegnie do jadalni. Za nim Pani Nina i Frydląd, który w biegu jeszcze gestykuluje i opowiada: »cera kalabryjczyka, maniery sankiulotta... Powiada — państwo tu mieszkają na odludziu, tego owego, poco wam pokój gościnny«).

(Pauza. W jadalni są już Polichnowscy i panna Ellen. Przez dłuższą chwilę słychać brzęk nakryć i talerzy, jakieś urywki

zdań). Ów Mordokwasow tedy zakochał się w Krysi z Czempisza... Kiedy w roku 15-tym Kreischef von Schroda objął władzę, Krysia mieszkała w Brzezinach. Pan Schroda przedłuża szosę do Brzezin...

(Później Derka opowiada jakieś anegdoty: »Przypomina mi to znaną historyjkę: Moryc Bronet i Izydor Kokiet widzą po raz pierwszy w życiu fox-trotta«...

Salon jest pusty, światło przyćmione. Czasem przebiega lokaj, chwyta butelkę ze stolika, albo talerz i wybiega. Po pauzie — Ellen).

Ellen (zatrzymuje lokaja i mówi szeptem). Panie — jakże wam na imię?

Lokaj. Michał, proszę dziedziczki. Ja tu jestem z tego samego domu, od państwa Esstisch-Stółdoyadło.

Ellen. Dobrze. Otóż niech Michał uważa: gdyby tu przyszedł pan — taki sobie pan, bardzo ogorzały, we fraku. Ale prawdopodobnie w kiepskim fraku. A może nawet w kożuchu...

Lokaj. Rozumiem.

Ellen. Michał go wprowadzi do tego pokoju, poprosi, żeby zaczekał i da mi znak. Naprzykład w ten sposób (podnosi rękę).

To wymyślił d'Annunzio. Tak się witają we Włoszech...

Lokaj. Nie wiem, czy potrafię? (próbuje)

Ellen. Ten pan jest również proszony na kolację, ale nie możemy na niego czekać. Michał będzie miał jedno nakrycie w pogotowiu.

Lokaj. Rozumiem (podnosi rękę po rzymsku, gestem gladjatora). Czy ten pan zacznie od przekąsek, czy od ryby?

Ellen. Nie wiem. Nie zastanawiałam się nad tem.

Lokaj. Państwo Esstisch mówią w tych razach: ewentualnie od ryby. Służę, proszę, rozumiem (rozsuwa drzwi. Ellen wychodzi). (Znów krótka pauza. Po chwili — Tender. Jest we fraku i to w doskonale skrojonym fraku. Wygląda teraz zupełnie inaczej. Europejczyk. Kto wie, czy porównanie z Derką — nie wypadłoby właśnie na jego korzyść.)

Tender (nieco jeszcze zdyszany, ociera czoło. Usiłuje zatrzymać lokaja) Panie!... Przyjacielu!... Dobrodzieju!... Psst!

Lokaj (ogląda go). Frak nie jest znowu taki kiepski! (wita go, podnosząc dłoń). Pan będzie łaskaw spocząć. W tej chwili rybę podamy.

Tender (zdumiony powitaniem). Pan faszysta?

Lokaj. Nie, ja tu jestem donajęty. Proszę — momencik ewentualnie. Pan szanowny zaczyna od sandacza... (wybiega)

Tender. Od sandacza? Panie, chodzi o to, czy ja się nie pomyliłem w adresie!

(Lokaj zniknął za drzwiami. Tender po namyśle idzie ku drzwiom od przedpokoju).

Tender (głosem przyciszonym). Chodź, Syfon, chodź. Nie krępuj się. Mam jeszcze chwilę czasu. Możemy pogadać. Chodźże!

(»Syfon«. Jest to nieco obdarty i trochę zapijaczony wykolejeniec warszawski. Usiłuje markować lepszy ton, pogwizduje na wszystkich »cię« i się«. Syfon jest kolegą szkolnym Tendera, odnalezionym gdzieś pod barem, przy dworcu, na rogu ulicy).

Syfon. Kiedy bo rzeczywiście nie wiem, czy wypada. Wolałbym się wycofać! Tego rodzaju obcesowość .. Ja tu istotnie i prawdopodobnie nikogo nie znam.

Tender. Ja też nie! To nic. Siadaj. Ogrzej się. Przecież ty marzniesz w tym paletku!

Syfon (dygoce). Nie. Ja tylko bojkotuję klimat

miejscowy, który uważam za nadużycie i przesadę. Żeby tak wódki dali...

Tender (nalewa z butelki, stojącej na stoliku. Patrzy, jak »Syfon« ten kieliszek wychyla).

Jak się to stało, przyjacielu? Tak — zwyczajnie — na ulicy stoisz i szwarcowane papierosy sprzedajesz?

Syfon. Nie myślcie znowu, że ja się z tego utrzymuję! To tak sobie — żart karnawałowy, sport (kaszle). Prowadzę pewną statystykę i ciekaw byłem, ile też taki przekupień zarobić może. Szef monopolu państwowego zwrócił się do mnie z prośbą, abym mu tych danych dostarczył — nie wypadało odmówić...

Tender. Szef monopolu kazał ci stać tam na rogu, pod dworcem? Na taki mróz? W tem palcie?

Syfon. Nie mogę cię poinformować, czy była mowa akurat o dworcu... W każdym razie Ościpskiego znam i jeżeli jemu powierzą misję utworzenia gabinetu, to ja będę prawdopodobnie prowadził pertraktacje z Waszyngtonem. Ale to są rzeczy poufne. Mówmy o tobie, kochany Juljuszu... (drugi kieliszek).

Tender. Juljuszu? Nie pamiętasz? Bój się Boga, Syfon! Siedzieliśmy na jednej ławce! To ja ci to przezwisko wymyśliłem! Nic nie pamiętasz?

Syfon. Czy pamiętam? Mój drogi, masz przed sobą człowieka, który w społeczeństwie normalnem byłby oddawna nauczycielem mnemotechniki. Znają mnie z tego w kraju. Profesor Maurycy Handelsman, historyk, nieraz w nocy telefonuje do mnie: »Syfon — powiada — nie pamiętasz, chłopie, kiedy się Napoleon urodził«.

Tender. Aha! To ty masz telefon?

Syfon. Miałem i jaki jeszcze! Wiarybyś nie dał! Pamiętam, dyrektor Cedergren wzywa mnie do siebie... »Syfon — powiada — stary, drogi przyjacielu — Syfon, niech cię kule biją«... Można jeszcze jeden?

Tender. Pij, pij. Bo tu jeszcze kto wejdzie. Słuchaj! Tylko odpowiadaj krótko, zwięźle, po amerykańsku. Powodzi mi się nieźle, stosunki mam, pieniądze mam. Co ja mógłbym dla ciebie zrobić?

Syfon. Dla mnie? (pije — raptowna melancholja) Dla mnie, bracie, nikt nic zrobić nie może. Aus, koniec. Chybiona egzystencja. Mną

się już różne baby dobroczynne opiekowały... Szkoda czasu. Poprostu ta kupa atomów, z której się składam, jest dobrana niewłaściwie... Powinna się rozpaść, rozlecieć w kosmos... Powinna rzec jedna molekuła do drugiej, jeden elektron do drugiego: panowie, koledzy i koleżanki, Syfon się nie udał, wracamy na miejsca kontredansowe...

Tender. Żarty! Gdybyśmy tak wszyscy mówili, ładnieby świat wyglądał. Kilkudziesięciu idjotów w całości, a reszta — same atomy i molekuły. Poczekaj — masz tu mój adres... (pisze coś na kartce). Tymczasem zaś (sięga do kieszeni) — nie mam, co prawda, pieniędzy krajowych, ale to ci wszędzie zmienią. Dolary.

(Panna Ellen de Verny)

Syfon (oburzył się) Za kogo ty mnie masz?! Co to ja — żebrak jestem? Jeszcze — do stu piorunów... coś tutaj znaczę!

Tender. Pssst! Ciszej! Nie oburzaj się za wcześnie! Czekaj! Prosta tranzakcja. Wkręcili mi, uważasz, takie dwie sztuki po dwadzieścia. Z Lincolnem! Wycofane z obiegu, rozumiesz? Nic nie warte! Puść to mię-

dzy ludzi — podzielimy się. Interes handlowy.

Syfon (gwizdnął przeciągle). Fju. To tak?

Tender. Tak.

Syfon. Ja też się dziwię. Skąd niby? — frak, lakiery, wizyty... To z tobą, bracie, jest gorzej, niż ze mną?

Tender. Gorzej.

Syfon. Fałszywe dolary? (bierze banknoty) Owszem. Dlaczego nie. Jeżeli można uczciwie zarobić i przyjacielowi dopomódz... (spostrzega Ellen, chowa szybko pieniądze). Uwaga! (kłania się).

Tender. Co? Ach, panna Ellen! Pani wybaczy, mój przyjaciel i kolega szkolny... (Syfon już jest przy drzwiach) Syfon! gdzie ty się wybierasz?! Czekajże!

Syfon. Innym razem. Nie omieszkam. Przepraszam, ale mój samochód czeka — nie wydałem jeszcze dyspozycji szoferowi... (znika za drzwiami).

Tender. Dzikus! Zupełnie dziki człowiek! (nabiera na talerz kawał tortu i garść herbatników i gryzie to spokojnie ku wielkiemu zdumieniu Ellen).

Ellen. Panie Tender!

Tender. Pani daruje — muszę wreszcie pomyśleć o sobie! Od czternastej dwadzieścia nic w ustach nie miałem... Ja wiem, że tak nie wypada...

Ellen. Zdumiewające! Ta zimna krew! Myślałam, że to się tylko w naiwnych powieściach zdarza! Panie! Przecież ja podsłuchałam waszą rozmowę...

Tender. O!

Ellen. Widziałam! Rozumie pan? Widziałam wszystko!

Tender. (żuje herbatniki). Jestem zgubiony. Biada!

Ellen. Widocznie nie można polegać na pierwszem wrażeniu. Pan jest pospolity... zwykły...

Tender. Hm. (kiwa głową potakująco) Oszust — niech się pani nie krępuje! Oszust.

Ellen. Pobiegnie pan natychmiast za tym człowiekiem! Odbierze pan swemu wspólnikowi te banknoty i podrze je pan.

Tender. Chętnie. Posiliłem się — mogę znów pobiegać. Tylko — małe sprostowanie. Syfon nie jest moim wspólnikiem. To — klijent! Wspólniczką moją pani powinna zostać.

Ellen. Ja? Pan oszalał? Ja mam w obieg puszczać fałszywe banknoty?

Tender. Banknoty były oczywiście najrzetelniejsze w świecie. Stary Linkoln jest równie dobry, jak każdy inny Ben, Harrison. Oszukałem Syfona, bo inaczej miałbym z nim poważne trudności... Dziwne, że bohaterem romansu jest zawsze demoniczny złoczyńca. Pani nie uwierzy, ile dziś trzeba sprytu zużyć na tak zwany ordynarnie »dobry uczynek«. Mam już pewne doświadczenie w tej branży, a jednak...

Ellen. O jakiej pan branży mówi? Co to wszystko ma znaczyć? Pan jest komiwojażerem?

Tender. Tak pani (nowa porcja herbatników). Przecież to widać na pierwszy rzut oka.

Ellen (do przechodzącego Lokaja). Niech Michał sprzątnie nakrycie dodatkowe. Nie trzeba.

Komiwojażer! Że mi to wcześniej na myśl nie przyszło. Oczywiście! ta swada — te manjery! Szkoda!

Tender. I ja żałuję. Wolałbym być błędnym rycerzem, podróżować na koniu — w pancerzu, szyszaku i z pióropuszem, ale cóż robić? Inne czasy. Jeżdżę wyłącznie koleją, na ławce — nie na siodle — i za-

miast pieśni miłosnych, uczę się na pamięć rozkładu jazdy...

Ellen. Jeszcze jedno rozczarowanie w mojem życiu! Teraz rozumiem. W tej swojej walizeczce śmiesznej wozi pan napewno próbki, jak ci Chińczycy, co po kawiarniach fajki i wachlarze roznoszą?

Tender. Próbki? Nie. Handluję artykułem tak dziwnym, że moje próbki do żadnej walizki by się nie zmieściły.

Ellen. Nie? To mi nie imponuje zupełnie. Pan Derka obrał sobie objekty małe, pan się poświęcił większym. I jedno jest nudne i drugie. Życzę panu powodzenia w handlu i jeżeli pan jeszcze kiedy zawita w te strony... (chce odejść).

Tender. (chwyta ją za rękę). Zaraz, proszę pani! Zaraz! Przypuśćmy, że jedziemy tym samym wagonem kolejowym, w tym samym przedziale. Jakiem prawem pani już wysiada, kiedy niema przystanku? Los nas umieścił na vis à vis. Jakim cudem chce się pani pozbyć raptem i niespodzianie mojego towarzystwa?

Ellen. Proszę pana — dajmy temu pokój! Jesteśmy na szczęście w salonie państwa Frydlądów...

Tender. Och, pani to nazywa szczęściem!

Ellen. Zresztą, gdybyśmy nawet siedzieli w wagonie kolejowym — to też mogłabym chyba przerwać rozmowę, która mnie nudzi...

Tender. Proszę!! A coby pani zrobiła, gdyby pani natrafiła przypadkiem na takiego pasażera, jak ja?

Ellen. Nie wiem. Udałabym, że śpię, albo że czytam...

Tender. Dobrze. Na to zgoda (sadza ją na kanapie). Niech pani udaje, że pani śpi i że pani czyta. Ja sobie mogę mówić dalej! Mam chyba prawo! (siada — naprost niej — na krześle).

(Lokaj)

Lokaj. Przychodzę z polecenia głowy domu, pani Frydlądowej i mam honor oświadczyć, że państwo — ewentualnie — czekają z niecierpliwością...

Tender. Psst! Przedział jest zarezerwowany! Aż do stacji krańcowej! Reservé! Niech pan sobie poszuka innego wagonu. Widzi pan, że pani zasnęła.

Lokaj. Rozumiem. Zlecenie wykonałem — odchodzę. Państwo Esstisch mówią w takich

razach: pas d' argent, pas de contradiction... (wychodzi).

Tender. Jakiś rozsądny człowiek.

Ellen. O panu tego stanowczo nie można powiedzieć!

Tender. Tak? Chwileczka! Proszę mi dać dwie minuty czasu. Jeżeli przez te dwie minuty nie przekonam pani, że jestem najzimniejszym, najlogiczniejszym, najbardziej wyrachowanym człowiekiem w nieszczęsnej Europie dzisiejszej, że jestem wogóle na drodze do świetnej karjery — poddaję się, składam ukłon, wyskakuję przez okno! Znikam z pani życia — niema mnie!

Uwaga! Zaczynam! Czy pani zna bajkę Grimma o bosej sierocie?

Ellen. Nie znam! Gdyby pan nie był »rajzenderem«, toby pan wiedział, że w lepszych towarzystwach nie mówi się już teraz o literaturze. Może pan mówić tylko o piłce nożnej albo o życiu pozagrobowem.

Tender. Pani mi przerywa i przedłuża przez to dyskusję! Ponieważ czas ograniczyliśmy, każde słowo szanownej pani jest dla mnie niepowetowaną stratą...

Ellen. Dziękuję. Bardzo pan jest uprzejmy!

Tender. Nie chodzi o to, żebym był uprzejmy, tylko żeby pani nie miała o mnie fałszywego pojęcia. Grimm opowiada o sierotce ubogiej, która w świat idzie bosa, a nic nie ma na sobie, tylko tę sukienczynę biedną i nic z sobą, tylko kawał chleba. I spotyka po drodze nędzarza...

Ellen. ...i oddaje mu kromkę chleba, a potem znów kogoś i oddaje chustę i sukienkę, i koszulinę... A kiedy została w lesie zimową nocą nagusieńka — raptem gwiazdy jęły spadać z nieba, a każda się zamieniła w złotego talara. I pozbierała je sobie sierotka i bardzo była od owego czasu zamożna... Klituś, bajduś!... Terefere... Pan mi opowiada najstarszą anegdotę Europy środkowej!

Tender. Brawo! Świetnie! Prócz »terefere« każdy wyraz zapisuję na swoje własne konto! Otóż — pani wie, co się w tej naiwnej bajeczce zawiera? Ni mniej ni więcej, tylko najlepszy, najrozsądniejszy, najgłębiej przemyślany projekt finansowy. Exposé prawdziwego męża stanu i ekonomisty!

Rzeczywiście, proszę pani, jacy my jesteśmy głupi, jacy my jesteśmy głupi!

Ellen. Pan będzie łaskaw mówić w liczbie pojedynczej!

Tender. Chodzimy po tej zrujnowanej Europie wśród gruzów — chodzimy a marszczymy czoło, a przemyśliwamy: Co począć? Gdzie tu umieścić serce i kapitał? I wreszcie skupujemy szafy, meble, ubrania, listy zastawne, akcje... Nabijamy kieszenie papierami, trwonimy oszczędności, wpychając je bez rachuby bankom, Firleyom, kopalniom... zarządom, konsorcjom, towarzystwom! Oddajemy pieniądze ludziom, których nigdy na oczy nie widzieliśmy i nie zobaczymy! Nikt nie wpadnie na pomysł, że najlepsza lokata to — Syfon, któregośmy spotkali w nocy, pod barem... to jakiś przechodzień o sympatycznej twarzy, to pierwszy lepszy sąsiad z ławki kolejowej!

Marnujemy miljardy, rzucając je pod nogi obcym, nieznanym bezcielesnym »Naftolejom«, »Okpiszpolom«, zamiast je powierzyć człowiekowi, któregośmy dostrzegli wypadkiem pod uliczną latarnią.

Pani! Od chwili, kiedy to zrozumiałem — mam fach w ręku. Zostałem — jak pani powiada — komiwojażerem... Zarabiam, bogacę się — mam już ze stu życzliwych w różnych stronach świata! Lansuję nowy towar—wdzięczność ludzką

Ellen. (wstaje) Panie! Pan ma poprostu bzika! To jest jawne pomieszanie zmysłów!

Tender. Jakto? Jeszcze pani nie przekonałem? Ja pani pokażę swoje księgi handlowe! (wyjmuje maleńki notesik) »17/VII. 20. Monte Carlo. Pożyczyłem panu X (brunet, śniada cera) 200 franków«. Dziś za sam autograf tego człowieka, za podpis na powinszowaniu noworocznem dają mi dwieście dolarów! Jest zysk, czy niema? Dalej: 21/II. Stacja pograniczna Pontebba. Pewien starszy jegomość, który zgubił portfel i bilet kolejowy«...

(Derka staje we drzwiach jadalni. Tender jednym susem jest przy nim, kłania się).

Przepraszam, wszystko zajęte! (zasuwa podwoje, wraca). Teraz chyba pani rozumie, dlaczego przyjechałem z Włoch? Mam tu pewien debet... muszę wyrów-

nać pewną pozycję... Jednem słowem — Dlaczego pani tak na mnie patrzy?

Ellen. Pan się powinien poddać dłuższej kuracji. Pan jest manjak! Nie znam się na tem, ale to przecież bije w oczy! To napewno ma jakąś nazwę łacińską!

Tender. Manjak — oszust? Nie mogę twierdzić, że wywarłem korzystne wrażenie! (idzie zgnębiony do stolika i gryzie z pasją badjanki)

(Frydląd)

Frydląd. Ellen — zlituj się! Przecież pan dyrektor Derka się obrazi! Co to? Kto to? Z kim ty tu rozmawiasz?

Ellen. Pan Gabrjel Tender! Znajomek z Fiesole.

Frydląd. Jezus, Marja! Znów?!

Ellen. Niech się wuj niczego nie obawia. Zbadałam sprawę! Pan Tender ma jak najuczciwsze zamiary! Pracuje — jeździ — (szeptem) Komiwojażer!

Frydląd. (szeptem) Jedwabie?

Ellen. Nie.

Frydląd. Gramofony?

Ellen. Nie.

Frydląd. Papier na muchy? Kinematograf? Tapety?

Ellen. Nie.

Frydląd. Więc co?

Ellen. Jakaś specjalna gałąź przemysłu: nowalje filozoficzne.

Frydląd. Jeździ na własny rachunek?

Ellen. Na własny. Firma »Gabrjel Tender«.

Frydląd. Patrzcie państwo! I aż tu zawędrował! Hm! — Odrazu coś podobnego przypuszczałem! Akwizytor! Naturalnie! takiego się nie można pozbyć odrazu! Moje dziecko, żeby on się tylko nie narzucał Derce z jakąś maszyną do szycia... (otwiera drzwi szeroko). Prosimy! Panie dyrektorze! (zapala wszystkie światła. Do Tendera). Mój drogi panie, pozna pan tu samego pana Derkę, jednego z największych naszych finansistów, ale niech go pan nie przypiera do muru i nie atakuje. To na nic! Ten człowiek u detalistów nie kupuje. Spinacze, agrafki, pluskiewki, ćwieki — wszystko sprowadza wagonami, wprost z fabryki. Niech się pan nie trudzi.

Ellen. Ależ, wuju! Niema mowy o agrafkach i ćwiekach. Pan Gabrjel — o ile dobrze rozumiem — rozwozi pewne figielki etyczne, pewną filozofję własną...

Frydląd. Filozofję sprowadzamy też hurtem wagonami. Wagonami wprost ze źródła. Pan Derka ma napewno przedstawicielstwo grosisty Kanta na Małopolskę. (woła) Prosimy na kawę! (do Tendera) Niech pan tu sobie siada!

(szeptem) Ależ te dzieciaki mają pecha! Być w Rzymie i sprowadzić stamtąd »rajzendera«!

(Derka, Pani Nina)

Derka (na progu jadalni wykłada głosem mentorskim) W interesach, łaskawa pani, niema pardonu! Trzeba być trzeźwym, trzeźwym, trzeźwym! I jeszcze raz trzeźwym.

Frydląd. Kieliszek likieru, panie dyrektorze?

Derka. Owszem!

Ellen (do Tendera) Widzi pan? Niech pan słucha! Niech się pan uczy!

Derka. Nie możemy się rządzić sentymentem!

Ellen. O! Uważa pan! Tak mówią o tych sprawach ludzie normalni!

Derka. Sentymentalizm nas gubi! Jeżeli mam budować szosę, to muszę wiedzieć dokładnie, ile jest kilometrów od miejsca, gdzie się w Krzysi kochał Mordokwasow, aż do tego miejsca, gdzie się w niej za-

kochał von Schroda. I dalej — jaka jest odległość w kilometrach! w zimnych cyfrach! — od miejscowości, w której się skończył afekt von Schrody do tartaku panny Ellen, której znowu jabym chętnie nieba przychylił.

Tender. (do Ellen). Uważa pani? Niech pani słucha! Tak mówią ludzie trzeźwi!

Nina. Jednem słowem — dyrektor oba nasze projekty uważa za zupełnie niewykonalne?

Derka. Niema projektów niewykonalnych! Tu rozstrzygają cyfry, cyfry, cyfry. Trzeba się zastanowić, co zarabiam, co tracę, ile zyskam, ile dołożę...

Tender. O!

Derka. Można budować szosę nietylko do Lututowa, ale nawet na księżyc i zrobić na tem gruby majątek! Nietylko kanał Panamski, ale nawet biblijna wieża Babel była napewno doskonałym interesem, inaczejby się Żydzi do niej nie wzięli. Jeżeli mam kupić Kamerun, to muszę wiedzieć dokładnie — w cyfrach, ile to ma kilometrów kwadratowych, kto tam mieszka i co tam rośnie. Muszę znać

doskonale objekt, ale przedewszystkiem muszę znać ludzi!

Tender. O! Widzi pani! Słyszy pani! Znać ludzi! Ja to samo twierdzę! A pani mnie ma za szaleńca!

Derka. Muszę wiedzieć, kto jest ze mną, kto jest przeciwko mnie!

Frydląd. Listę prezydjum już mam! (czyta z kartki) Towarzystwo kolonjalne: Ościpski — prezes, Kociłapski — wiceprezes, Moryś — sekretarz jeneralny...

Derka. Ościpskiego nie znam. Kociłapskiego nie znam, Morysia widziałem tylko przy kolacji... Co się zaś tyczy Kamerunu...

Nina. Moryś panu udzieli wszelkich informacji! On tę sprawę opracował gruntownie do najdrobniejszych szczegółów. Ma wszystkie dane, zebrał wszystkie wiadomości.

Derka. Gdzie jest ten Moryś? Muszę widzieć człowieka, z którym mam wejść w stosunki handlowe. Muszę mu patrzeć w oczy!

Frydląd.
Nina. } Maurycy! Morysiu!

Derka. Cały handel, łaskawi państwo, oparty jest właściwie nie na kontraktach, papierach i paragrafach, nie na kruczkach adwo-

kackich, kwitach i punktacjach. W handlu, jak w miłości, rozstrzyga pierwsze wrażenie: »Człowieku, mam do ciebie zaufanie, masz tu mój portfel, bierz, ile dusza zapragnie!«

Tender. (do Ellen). Pani pozwoli — ja mu się muszę przedstawić. To jakiś zupełnie rozsądny pasażer!

Ellen. Pan się powinien przedewszystkiem przedstawić pani domu, przeprosić grzecznie za najście...

Tender. Idę, idę!

Ellen. Przytem w naszych szerokościach geograficznych starsze panie całuje się w rękę.

Tender. W prawą, czy w lewą? Jestem skłonny do wszelkich poświęceń! Lecę! (zbliża się ku Ninie i Derce)

Ellen. Ciociu! Pan Tender.

Nina. To? Ten — w kożuchu? (do Amilkara) Cóżeś ty nam za bajdy niestworzone opowiadał? Frak! Szyk! Dżentelmen!

Frydląd. Omyliłem się! Trudno. Tybyś tak poznała odrazu intencje człowieka nieogolonego?

Nina. Mąż mi pana odmalował w najczarniejszych kolorach. Brukarz, karbonarjusz...

Tender. Brukarzem byłem, łaskawa pani. Piastowałem już wogóle wszystkie godności — od abiturjenta do żonglera i żuawa...

Nina. To jest zatem owa postać zagadkowa — ów tajemniczy Gabrjel Tender?

Tender. Dlaczego tajemniczy, proszę pani? Ludzie dopóty się uspokoić nie mogą, dopóty węszą straszną tajemnicę, póki wreszcie o kimś nie dowiedzą się dwóch rzeczy zasadniczych: primo, że »ujrzał światło dzienne w Drohobyczu« i secundo, że »pracuje od lat dwudziestu w interesie bławatnym«.

Mojem jedynem »misterjum« jest to, że się nigdzie nie urodziłem i że nie pracuję stale w bławatach. Poza tem człowiek, jak każdy inny. Mam te same poglądy ekonomiczne, co pan Derka. Na tych samych zasadach oparłem moje przedsiębiorstwo...

Derka. To mi ogromnie pochlebia. Ogromnie! Chętnie się z panem podzielę poglądami — byle pan nie żądał odemnie podziału majątkowego!...

Tender. Dzielić się z panem majątkiem? Nie

mam zamiaru. Źlebym na tem wyszedł — jestem bogatszy od pana.

Frydląd. Brawo! Panie! Panowie! Wznoszę ten kielich za zdrowie największego potentata finansowego naszych czasów, pana Gabrjela Tendera!

Tender. Ja mówię serjo, proszę państwa. Niech mi kto powie, co ma taki pan Derka.

Derka. Taki Derka! Doskonałe!

Tender. Kilka warsztatów — kilka sklepików — kilka pewnie koślawych kamienic w jakiejś zapadłej dziurze prowincjonalnej.

Ja jestem właścicielem londyńskiego Hyde-Parku, Britisch Museum, Pól Elizejskich w Paryżu, Placu Ś-go Marka w Wenecji, współwłaścicielem pałacu Pittich, do mnie należą: Forum Romanum, bulwary nad Tamizą, most nad Amstelą, grachty w Amsterdamie....

Derka. ...i ogród Saski w Warszawie! Patrzcie, patrzcie. Nie wiedziałem. To pańskie?

Tender. A czyje? Może pańskie? Pan tam wpada na chwilę, myśli o interesach, idzie spać do hotelu i widzi mniej od konia dorożkarskiego!

Ja na ławce nad Tamizą mieszkałem,

w Paryżu pod mostami sypiałem — razem z żebrakami ulicznymi. To moje! Moje i ich!

Państwo Polichnowscy pokażą panu fotografję — zimny, rzeczowy dokument, z którego widać jasno, jak na dłoni, że dla mnie odgrzebano Teatr antyczny w Fiesole! Dla mnie, nie dla pana, panie Derka!

Derka. Jeżeli pan rzeczywiście finansuje takie przedsiębiorstwa, to ja się naturalnie nie mogę z panem równać! (ciszej do Frydlądów). Co to — włóczęga jakiś? Sypia pod mostem?...

Sądziłem, że w ściślejszem kółku będziemy toczyli nasze narady...

Frydląd. Pech! — co robić? Znalazł kto kiedy sposób na rajzendera? Wskazać mu drzwi, to wróci oknem... Najlepiej nie zwracać uwagi...

(Woła) Maurycy! Chodzi o te cyfry, panie dyrektorze. Moryś ma tej (gest) wielkości memorjał... (biegnie do Morysia).

Tender (do Ellen). Czy ja znowu coś niewłaściwego uczyniłem, proszę pani?

Ellen. Owszem. Niech pan się już lepiej wcale nie odzywa.

Tender. Nic nie rozumiem. Starszą panią cmoknąłem w rękę — Jeszcze źle? Nie mam szczęścia...

(Moryś pracował tak gorliwie nad otwieraniem różnych butelek, że jeszcze i teraz język mu się zlekka plącze. Flaszkę starki i kieliszek przyniósł ze sobą).

Moryś. Memorjał? Mam memorjał, panie dyrektorze. Ogromnie, kolosalnie wyczerpujący memorjał... Patrzcie! Mój gość! Już tu trafił? Inteligencja ludzka jest podziwu godna! Musimy wypić kieliszek starki, panie Tender.

Nina. Morysiu! Pan dyrektor czeka na referat!

Moryś. Racja! Finansowość przedewszystkiem! (odchrząknął, rzuca kilka słów). Sanacja, eksport, waloryzacja, ziemiopłody... Miałem jakieś notaty... Gdzie ja to podziałem? Aha! (wyjmuje kartkę z bocznej kieszeni i czyta). Kamerun, szanowni słuchacze, leży w Afryce nawprost wyspy Fernando-Po, a w słowniku Larousse'a na stronicy 1201-ej. Ma — proszę się tem nie przejmować — miejscami — nie-

wiadomo dlaczego — 4000 metrów nad poziomem morza.

Co prezes na to?

Derka. Nic. Czekam. Kalkulacja?

Moryś. Prawda! Ponieważ cały objekt ma 4000 metrów wysokości, licząc tedy za metr choćby tylko 1000 złotych polskich, otrzymujemy kolosalną sumę... Co?

Derka. Nic. Słucham.

Moryś. Otrzymujemy gratis kolosalną sumę! Wystarcza tylko pomnożyć jedno przez drugie.

A dalej palmy kokosowe i drzewo gumowe. Nacinamy takie drzewo i doimy gumę arabską. Pan prezes się uśmiecha? Pan prezes mi nie wierzy? To są fakty! To można sprawdzić!

Nina. Zdaje mi się, Morysiu, że ty sprawę przedstawiasz nieco chaotycznie?

Moryś. Bo to jest kraj podzwrotnikowy, egzotyczny!... Ciocia myśli, że o tem można mówić, jak o ogródku dla dzieci, porządnie, systematycznie! W takiej Afryce to i drzewo rośnie i woda płynie i minerał sobie leży. Taki kraj to i powierzchnię ma i gęstość zaludnienia

i granicę naturalną i stopień geograficzny...

Frydląd. Do kogo to należy, Morysiu?

Moryś. O właśnie! Wuj ma rację! Albo taka kwestja: do kogo to należy? To bardzo rozsądne pytanie, to poważna kwestja! Tego nie można tu rozstrzygnąć — w czterech ścianach. Jednym zamachem! To trzeba przemyśleć...

Ellen (rozmawiała o czemś z Tenderem). Co ty pleciesz, Morysiu? Przecież ty nie masz pojęcia o niczem! A chcesz nabywać Kamerun!

Moryś. I nabędę! Ja mogę nie znać Afryki, ale ja znam ciotkę Frydlądową. Skoro ciotka powiedziała, że będziemy mieli kolonje, to będziemy mieli kolonje, choćby kołki z nieba leciały! Jeżeli ciotka powiada, że będziemy mieli porto franco — to będziemy mieli porto franco... choćby pioruny biły... Prawda, prezesie?

Derka. Jak pan sobie wyobraża stronę finansową sprawy?

Moryś. Wyobrażam sobie. Zupełnie dokładnie. Widzę ją z zamkniętemi oczami. Mógłbym trafić omackiem.

Derka. Jak pan chce zgromadzić kapitały?...

Moryś. Kupimy rzecz na spłaty miesięczne. Urządzimy w tym celu »kwiatek«... i »garden-party«.

Derka (po krótkiej pauzie). Panie mi wybaczą... Przyzwyczaiłem się do papierosów amerykańskich. Sięgnę do futra... Bardzo piękny, bardzo treściwy referat, panie Maurycy. Pan powinien się niezwłocznie w ten sam sposób zająć sprawami wewnętrznemi kraju! (wychodzi)

Frydląd. Niema co w bawełnę owijać — fiasko! Nie popisał się nasz przyszły Stinnes. Jak myślisz, Nina?

Nina. Okropność! Czy ja mogłam przypuścić coś podobnego? Grunt był przygotowany świetnie! Wino, rozbef, Melba. Derka się rozkrochmalił. Byliśmy na jaknajlepszej drodze. I masz! Jak ja się teraz Ościpskim na oczy pokażę! Jemu obiecałam stanowisko w radzie nadzorczej, ona miała być prezeską Ligi... kolonjalnej. Maurycy, coś ty uczynił!

Moryś. To Ellen wszystkiemu winna! »Co ty pleciesz« i »co ty pleciesz«. Jak mi ktoś najlepsze argumenty wtłacza z powrotem

do gardła... I przytem żadnej pomocy znikąd! Ja tu stoję i walczę, jak ten Leonidas — sam jeden przeciwko trzystu Grekom, nikt mnie nie wesprze, nikt mi nic nie podpowie. Sapristi! Ventimiglia! Vittorio Emmanuele! Portomaggiore!

Tender. Bardzo ładne miejscowości pan wymienia! Wogóle nawet o Kamerunie wie pan więcej, niż ci ludzie, którzy nam dzisiejszą mapę świata ułożyli — wiedzieli o Europie. Pan jest urodzony dyplomata... I to z tych wielkich!

Moryś. Przyjacielu! Jedyny człowiek, który się na mnie poznał. Kieliszeczek! (bierze go pod ramię, prowadzi ku jadalni). Pan jest taki wykształcony — ciągle pan podróżuje — nie mógł mi pan podpowiedzieć, do kogo to przeklęte Kameruńsko należy?

Tender. Nie, panie! To byłby nietakt. Ja się już teraz wcale nieźle orjentuję w formach towarzyskich... (całuje ni stąd ni zowąd Ninę w rękę. Wychodzą)

Nina. Ellen! Ratuj! Powinnaś użyć swego wpływu i skłonić pana Mieczysława...

Ellen. Nie mam wpływu na pana Mieczysława!

Nina. Tak? Otóż wiedz, że on mi się zwierzył przed kolacją! Rozwodzi się z Balbiną — i

Ellen. I co?

Nina. Może zawcześnie o tem mówię! chce się żenić z tobą.

Frydląd. Derka? Mieczysław Derka?

Nina. Derka.

Ellen. Niebu niech będą dzięki! Hosanna! Hosanna! Nareszcie jest ktoś. Żeby tylko wrócił! Żeby nie uciekł z przedpokoju bez pożegnania!

Frydląd. Mam wrażenie, że ty sobie kpisz z tej propozycji, dziewczyno?

Ellen. Nie! Tylko jestem oszołomiona! Ile się tu spraw porusza kolosalnej wagi: sprawy kolonjalne, sprawy matrymonjalne, sprawy komunikacji lądowych! Wre, jak w komisji budżetowej. I to przy jednej kolacji w jednym domu prywatnym! W ciągu jednej godziny! A mówią, że my — po wojnie — już nie umiemy pracować!

Frydląd. Kpi! Ja ci powiadam, Nina, że ona kpi! Ja znam całą rodzinę — to wnuczka Euzebjusza! Żartuje z najpoważniejszych rzeczy!

Zastanów się, kobieto! Cóż ty myślisz, że tu po ciebie książę przyjedzie poszóstną karocą? Derka jest zły? Za kogo ty chcesz wyjść u nas? Za torrreadora? Za maharadżę? My jesteśmy mali ludzie — mamy ograniczony rynek zbytu.

Nina. Fanaberje! przesądy! I żeby ten Derka był jakiś dorobkiewicz, gbur powojenny! Ale to taka postać romantyczna, taki prawdziwie współczesny typ konkwistadora! Jeszcze wczoraj pucybut, dziś jeden z największych przemysłowców. Zauważyłeś, Amilkarze, trzech słów z nim nie zamieniła? Wstała od stołu...

Frydląd. Dziecko drogie! Jako twój były opiekun, zaklinam cię — uśmiechnij się do niego!...

A! O wilku mowa!

(Derka wpada czerwony i spocony. W przedpokoju od dłuższego już czasu słychać było jakiś harmider, jakieś głosy podniesione... Derka biegnie, roztrącając obecnych, do szafki z telefonem, chwyta słuchawkę gorączkowo). Proszę! Komisarjat... Bardzo pilno! Tak!... Mówi Mieczysław Derka. Pan komisarz Bibrych?

Jestem tu, w Alejach Jerozolimskich, u Frydlądów. Nie przerywać, do stu djabłów! — Moi drodzy, przyślijcie natychmiast kogoś. Co? nie kawał! Dlaczego kawał! — Kradzież! Znaczna kradzież!... Pan śpi na dyżurze, jak dziecko w kolebce, panie!... Co? Obrażam urzędnika, żeby było prędzej! Możecie jednocześnie spisać dwa protokóły (odkłada słuchawkę — spokojny ale tragiczny).

(W salonie lekki popłoch).

Nina } Co się stało? Panie Mieczysławie, co
Frydląd } to? Jakto? Co takiego?

Derka. Nic. Jak było do przewidzenia... Futro! Psiakrr... Zapewniali mnie w Wiedniu, że kołnierz jest po Franciszku Józefie!

Frydląd. Jaki kołnierz? Co za futro? Co się dzieje?

Derka. Słyszał pan chyba! Ukradli.

Frydląd. Jakie? Wisiało przecie w przedpokoju?!

Derka. A wisiało, aż przestało wisieć.

Frydląd. Nina, słyszysz?

Nina. Nic nie rozumiem! Zatrzask był przecież amerykański! Sama kupowałam! Co mówi służba, panie Mieczysławie?

Frydląd. Właśnie! Co służbana to! (krzyczy). Mi-

chał! Moryś! Rara! Czego ty się uśmiechasz, Ellen?

Ellen. Wuj mi sam kazał!

Frydląd. No widzieliście? Ja jej kazałem się uśmiechać w takiej sytuacji?

Kochany panie Mieczysławie, nie gorączkujmy się!

Derka. Ja się nie gorączkuję. Mówię spokojnie. Zabrali.

Frydląd. Zabrali? Pan jest pewien, że zabrali? Ale kto? Przecie tu nikt nie wchodził? Sami swoi! Michała znam od dwóch lat!

Derka. Tak? To ciekawe! Panu Tenderowi jest na imię Michał?

Ellen. Nie, proszę pana. Gabrjel.

Derka. Prawda, prawda. Myślałem o czem innem.

Ellen. Wiem, o czem pan myślał. Pana Tendera znamy nie od dwuch lat, ale od dwóch godzin.

Derka. Tak mi się też zdawało...

Ellen. Według pańskich bardzo pięknych teoryj to właściwie wszystko jedno. Rozstrzyga pierwsze wejrzenie: »Człowieku, mam do ciebie zaufanie« — Jak to pan powiedział?

Derka. Nie pamiętam. Teorja teorją — a futro djabli wzięli. Żyjemy w czasach, kiedy

przyrodniemu bratu ufać nie można... Cóż dopiero pierwszemu lepszemu...

Ellen. Bratu może nie należy ufać, ale pierwszemu lepszemu tak! (wyjmuje z torebki książeczkę czekową, pisze kilka słów, wydziera kartkę). Proszę. Pan będzie łaskaw zgłosić się z tem do mojego bankiera. Sumę pan sam wpisać zechce! (wychodzi).

Derka. Boże drogi! Ja przecież nie miałem zamiaru... Najwidoczniej dotknąłem jakiejś czułej struny...

Frydląd. Dziwne, bardzo dziwne! Nieszczęście nigdy nie chodzi samopas. Zwarjowała!

Derka. W każdym razie ja tego przyjąć nie mogę! Wpisuje: (pisze na kartce) suma złotych polskich zero, wyraźnie zero! I zwracam! Wolałbym raczej nago po największym mrozie chodzić, niż w tem świetle... wobec panny Ellen... Ja przecież nic nie powiedziałem!... Tylko pan Tender sprowadził tu pewnego człowieka...

(Rara, Moryś, za nimi Tender)

Rara. Co się tu stało, ciociu? Rozmawiałam właśnie z Kociołkową, dała mi świetny przepis na budyń po karpacku...

Nina. Mniejsza o budyń po karpacku! Kradzież!

Sułtan Abdul Hamid mówił prawdę: kradzież w domu.

Rara. Boże! Co takiego?

Nina. Futro pana Derki.

Derka. Foki. Kołnierz »kamczatka«.

Panie Gabrjelu, jak się nazywa i gdzie mieszka człowiek, którego pan tu sprowadził?

Tender. Nie wiem.

Derka. Jakto? Przepraszam pana! Pije pan z nim wino, rozmawia pan z nim kwadrans, jest pan z nim na ty i nic pan o nim nie wie?

Tender. Proszę pana — i nam się zdarzyło to samo: piliśmy ze sobą, rozmawiamy przeszło kwadrans, z Morysiem jestem na ty. Czy pan wie co o mnie?

Derka. To jakaś gra w ciuciubabkę!

Tender. Jak całe życie ludzkie, panie dyrektorze. Cóż z tego, że ja panu powiem: »urodziłem się w roku 1885, jako syn Elżbiety i Teodora małżonków Tenderów. Światło dzienne ujrzałem w wagonie kolejowym Warszawa—Wiedeń«... Będzie pan przez to mądrzejszy?

Derka. Panie! Są poważne dane na to, że człowiek,

który tu z panem wszedł, ukradł mi futro Futro na bobrach!

Tender. Szczerze Panu współczuję.

Derka. To mało, panie, to bardzo mało! Przecież pan mu — pośrednio zadanie ułatwił! Pan mu do spełnienia przestępstwa dopomógł!

Tender. Trochę ja, ale trochę też i pan. Bo poco panu futro na bobrach...

Derka. Hm... Naturalnie! Teraz rozumiem! Wszystko się wyjaśnia. Poinformował mnie pan dostatecznie. Resztę ustali policja — telefonowałem przed chwilą.

Tender. Policja? (lekkie zaniepokojenie). Policja, powiada pan? Nie chciałbym dłużej narzucać się państwu — Do widzenia! (I, wykręciwszy się na pięcie, szybko znika we drzwiach od przedpokoju. Słychać po chwili mocne trzaśnięcie drzwiami. Poruszenie. Derka i Frydląd wybiegli nawet na korytarz).

Derka. Oczywiście! Szukaj wiatru w polu! Chyba jasne, co? Niema wątpliwości?

Frydląd. A kto pierwszy powiedział »mafja«! Kto się zna na ludziach? Frydląd! Stary, poczciwy Frydląd!

Derka. Naturalnie — byli w zmowie. Jeden z drugim! »Sitwa«! Psiakrew — foki po Franciszku Józefie!

U nas zawsze tak! Plany, projekty... kolonje, Afrykę na licytacji kupić, Japonję z wolnej ręki nabyć! A tymczasem jak przyjdzie co do czego, łapserdaków nawpuszczają, koszulę ci z grzbietu ściągną, buty z nóg ukradną... (idzie ku drzwiom od przedpokoju). Złodziejstwo na każdym kroku...

Moryś (po pauzie). O, Santa Fe de Bogota Przecież ja widziałem na własne oczy... Rara! Ten człowiek ma klucz od naszego mieszkania! Sam mi pokazywał!

III. NAZAJUTRZ RANO.

Nazajutrz. Ten sam salonik u Polichnowskich na Starem Mieście.

Drzwi — po prawej — zamknięte (na klucz). Drzwi do przedpokoju otwarte szeroko. Godzina dość wczesna.

Moryś blady i niewyspany — siedzi, drzemiąc chwilami, w kostjumie niezupełnie wystarczającym. Opiera się na fuzji, którą wypożyczył od panny Ellen. Budzi się co pewien czas i groźnem okiem patrzy wokoło, jak myśliwy na stanowisku. Pani Rara ustawicznem »Nie zasypiaj, Morysiu« stara się dodać mu otuchy i odwagi.

Po chwili Ellen. Wraca z przejażdżki, wesoła, uśmiechnięta, ożywiona.

Ellen. Dzień dobry! Już wstaliście? Brawo, zacne mieszczuchy!

Rara. Psst!

Moryś. Psst!

Ellen. Co takiego?

Moryś (gest w stronę drzwi zamkniętych — po prawej). Jest!

Ellen. Kto?

Moryś. On — ten z »camorry«!

Ellen. Przedostał się? Jakim cudem? Przecież mieliście go nie wpuszczać? Mieliście czuwać?

Moryś (macha ręką i nic nie mówi).

Rara. Oczywiście, znów Maurycy wszystkiemu winien. Ponieważ dał mu klucz od drzwi wejściowych, a te (pokazuje drzwi w głębi) się nie domykają...

Moryś. Przepraszam! Nie ja mu dałem klucz od wejścia, tylko Stefanja!

Rara. Ale tyś z nim pił bruderszaft! To na jedno wychodzi!

Trzeba więc było dyżurować na zmianę. Do jedenastej — dwunastej siedziała Stefanja — nic się nie stało. Do pierwszej byłam na warcie ja — nic, spokój. O pierwszej miał objąć dyżur Moryś.

Moryś. Objąłem!

Rara. Nie przerywaj! O czwartej nad ranem słyszę jakieś podejrzane kroki, jakieś stąpanie — zbiegam po schodach na dół. Moryś śpi, jakby nigdy nic... te drzwi

są zamknięte, a za drzwiami ktoś w najlepsze chrapie.

Ellen. Nie zawiadomiliście władzy? Nie telefonowaliście?

Rara. W nocy? Nasz telefon jeszcze nie jest opłacony! Telefonowaliśmy zwykle z baru na dole.

Zresztą... myślę sobie... dopóki chrapie, jest nieszkodliwy.

Moryś. Ale niechno tylko spróbuje wejść (zasypia). Wcale z nim nie rozmawiam — pod ścianę i na rozstrzelanie... I znów pod murek. Dwukrotnie.

Rara. Ładna historja, moja Ellen! Ile to komplikacyj z tego powodu, że komuś we Włoszech rzuciłam kilka groszy do kapelusza! Serce nas gubi! Doprawdy — w życiu trzeba być egoistką, zimną egoistką! Całą noc oka nie zmrużyłam.

Moryś (obudził się). A ja? Czyż na różach leżę? Dwanaście godzin, jak ten lew belforcki — na straży! Wszystkie mięśnie napięte (zasypia), jak cięciwy...

Ellen (zapala papierosa). Powiedz mi, Rara, poco to wszystko? Czego wy się oba-

wiacie? Co wam grozi właściwie? Co ten kordon wojenny ma znaczyć?

Rara. Jakto? Nie rozumiesz?

Ellen. Nie.

Rara. To zdumiewające doprawdy! Nie rozumie! Kobieto! Zastanów się. Pod jednym dachem z nami — tuż obok — przez próg — śpi niebezpieczny rabuś, złoczyńca międzynarodowy, typ z albumu przestępców. A ona nie rozumie?

Ellen. Przedewszystkiem — nie śpi z wami pod jednym dachem.

Rara. Jakto nie?

Ellen. Bo go widziałam — pół godziny temu — w Alejach.

Rara. Więc ja stara warjatka jestem, tak? Histeryczka, co? Mam halucynacje słuchowe?

Ellen. Nie wiem. Może on się rozdwaja, jak inżynier Ósemkowski? Wiem, że go widziałam na własne oczy. Szedł w pełnem słońcu — na spacer, pogwizdywał, wymachiwał laseczką... Jeżeli to była tylko marna połowa tego człowieka — to całość musi być wprost imponująca...

Rara. To ty miewasz przywidzenia, moja droga! I to w biały dzień. Moryś! Słyszałeś?

Moryś (ocknął się). Wszystko słyszałem — mysz się nie przemknie... (chwyta za karabin. — Wchodzi Derka).

Derka (ma na sobie dwa palta — jedno jasne, drugie ciemne, jedno długie, drugie krótkie. Poza tem jest niezwykle elegancki). Swój! Nie strzelać! Dzień dobry. Państwo są — widzę — w ostrem pogotowiu bojowem. Jakież jest hasło?

Rara. Pst!

Moryś. Hasło »Tender« i »Camorra«! (wskazuje drzwi po prawej).

Derka. Aha (ciszej). Właśnie w tym celu przychodzę — przepraszam za swój strój, lecę wprost z domu.

Otóż chciałbym się poinformować, czy pan Tender jest tu u państwa?

Moryś. Tak!

Ellen. Nie!

Rara. Tak!

Derka. Zdania są zatem podzielone...

Hm. Muszę państwa przeprosić za wczesną — raczej niewczesną wizytę i wytłomaczyć, o co chodzi.

Dziś z samego rana — o dziewiątej — melduje się u mnie jakiś wygolony

dżentelmen i wręcza mi taki list (wyjmuje list podłużny, format amerykański. Rozwija). Nagłówek: Patrokles F. Tuesday. A dalej — czytam odrazu po polsku, kazałem tu sobie wpisać ołówkiem tłumaczenie dosłowne — »Z polecenia pana G. Tendera wypłacam panu dolarów pięćset tytułem odszkodowania za futro«. Podpis — własnoręczny! Patrokles F. Tuesday« i — ten czek jako załącznik!

Moryś. Aha. No widzisz, Rara. Rzecz się prawdopodobnie wyjaśnia, bo ja nic nie rozumiem.

Derka. Przedewszystkiem — Pan wie, co to znaczy Patrokles F. Tuesday?!

Moryś. Jakto »co to znaczy«? Tego nie można tłomaczyć — ołówkiem ani atramentem — bo to jest nazwisko!

Derka (pauza pogardliwa). Patrokles F. Tuesday jest, proszę pana, ni mniej ni więcej, tylko delegatem europejskim grupy banków Morgana! Rozumie pan teraz? Jeżeli ten człowiek zechce panu zafundować Afrykę, o której wczoraj mówiliśmy, to jutro ją pan będzie miał w kieszeni! Do domu panu odniosą! I jeszcze na

dokładkę — dostanie pan,-z pocałowaniem ręki, Zgierz, Pabjanice, Madagaskar i Tomaszów Rawski. Tuesday jest w Warszawie od wczoraj — przyjechał czternasta dwadzieścia — ale dopiero dziś przedostała się o tem wiadomość do gazet (pokazuje numer pisma)... Chciał zachować incognito... Proszę »Przyjazd multimiljardera amerykańskiego. Warszawa stolicą świata«...

Moryś. Uważasz, Rara, co się dzieje?

Ellen. (uśmiech ironiczny). Co może łączyć, panie Derka, takiego rzezimieszka, jak pan Tender, z miljarderem amerykańskim? Jak pan to sobie wyobraża? Może zagranicą powstało jakie wielkie konsorcjum celem ogołocenia z palt naszych przedpokojów i Morgan to finansuje?

Moryś. Ja wyraźnie czuję, żebym to wszystko potrafił wam wytłomaczyć. Ale, niestety, w godzinach porannych nie jestem zdolny do pracy umysłowej...

Rara. Wiem! On wymógł na nim — na tym Tjusdeju — ten list i czek... siłą! To było pisane pod lufą rewolweru! Nieraz widziałam takie rzeczy w kinie — ban-

dyta trzyma rewolwer, a ofiara pali cygaro i pisze, co każą... To jest zwyczaj amerykański...

Derka. Jakże mógł trzymać rewolwer przy Tjusdeju — kiedy państwo mówią, że śpi w przyległym pokoju? Dziwne!

Tak czy owak — ja tych pieniędzy przyjąć nie mogę!

Ellen. Dlaczego? Skoro pan uważa, że pan Tender był w zmowie? Skoro pan złożył odpowiednie zeznanie w komisarjacie... Przypominam sobie nawet, że pan użył przy tej okazji jakiegoś pięknego wyrazu indyjskiego »sitwa«. Pan się chyba zna na ludziach.

Pieniądze powinien pan wziąć, należą się panu w nagrodę za przenikliwość... i przytomność umysłu.

Derka. Proszę pani — gdyby mi zabrano, nietylko palto, ale cały garnitur — W takiem świetle! Wobec Patroklesa F. Tuesdaya! Byłem już nawet u niego w Brystolu, ale wyznaczono mi audjencję dopiero na wtorek...

Odszkodowanie? Jak ja wyglądam teraz?

Ellen. Nieźle! Kolory może trochę źle dobrane...

Derka. Nie mówię o powierzchowności! Chodzi o rzeczy głębsze — o kredyt! Moja pierwsza tranzakcja z Tuesdayem nie może polegać na — zwrocie kosztów za używaną garderobę. Proszę mnie uwolnić od tych pieniędzy!

Gdzie jest pan Tender?

Moryś. (gest) Tam! śpi.

Derka. Dobrze. Zaczekam.

Telefonowałem już do pana Amilkara, do Bibrycha. — Prosiłem, żeby całą akcję natychmiast wstrzymali. Nieporozumienie i koniec.

Moryś. Jakto nieporozumienie? Jeżeli coś wisiało na kołku, a po pewnym czasie nie wisi na kołku, to ktoś to coś musiał zdjąć z kołka — nie? Tak uczy zdrowa logika.

Derka. Ale jeżeli, jak to widać z przebiegu wypadków — Morganowi i jego grupie potrzebne jest moje palto, to cofam — nigdy nic nie wisiało na kołku i basta. Tak uczy jeszcze zdrowa logika!

Właśnie teraz, kiedy szukam kredytu na Ustrzyki i Borysław — będę zadzierał z P. F. Tuesdayem! Pan chyba oszalał!

Moryś. To możliwe! To bardzo możliwe!

(Stefanja wnosi całe naręcze kwiatów. Są to — w jakiejś większej kwiaciarni zakupione — cztery, zupełnie jednakowe bukiety chryzantemów.

Rara. Co to, Stefanjo?

Stefanja. Posłaniec przyniósł (czyta na kartkach nazwiska). Pani Rara Polichnowska, Panna Ellen de Verny, Pani Frydlądowa. O, jeszcze jeden! »Stefanja« Dla mnie!

Ellen. (otwiera swoją kopertę) »Gabrjel Tender«. No, w każdym razie... Pewien postęp znać!

Moryś. Jakaś nowa afera. Ten człowiek rozbił widocznie transport kolejowy z Nizzy.
Co tam jeszcze Stefanjo?

Stefanja. Pan Frydląd stoi na rynku, przed domem. Dzwonił i prosi, żeby panna Ellen wyjrzała przez okno na ulicę.

Moryś. ...Zaraz. Stoi na rynku, dzwoni i prosi przed drzwiami... Stefanja nie mogłaby tego w inne słowa przyodziać.

Ellen. Ja mam wyjrzeć przez okno?

Stefanja. Tak. I jeszcze mówił pan Frydląd, że jeżeli tak, to niech pani kiwnie głową, że tak, a jeżeli nie, to niech pani kiwnie głową, że nie...

Moryś. A jeżeli nie, to nie... Czy Stefanja nie ma wypadkiem drugiego imienia? Pytja?

(Ellen i Stefanja wychodzą)

Rara. Ellen! Moje dziecko, bądź ostrożna! I uważaj, żebyś się nie zaziębiła! Jeszcze choroba w domu nam jest potrzebna przy tylu zmartwieniach!

Pan się też zaziębi, panie Mieczysławie! Niech pan zdejmie przynajmniej jedno palto!

Derka. Wolałbym nie zdejmować. W dzisiejszych czasach — co mam na sobie, to wiem, że moje.

(Jakieś kroki w pokoju gościnnym, po prawej).

Oho! Wstaje. Jedno mnie zastanawia: jak on mógł przysłać te kwiaty — skoro jest tam, zamknięty? Radjotelefon ma, czy co?

Moryś. A może ma? To sprytny człowiek! co mówię — to ptaszek!

(Ellen wraca)

Rara No i co?

Ellen. Kiwnęłam głową, że tak. Niema żadnej wątpliwości. Syfon!

Derka }
Rara. } Syfon! Co ma znaczyć?

Ellen. Sama nie wiem! Jedno jest pewne. Wuj stoi na rynku i rozmawia z Syfonem.

Moryś. Wuj Amilkar — sześćdziesięcioletni człowiek — stoi w trzaskający mróz z Syfonem na rynku!? Moryś, stary przyjacielu, trzymaj się! Mądrzejsi od ciebie w Tworkach siedzą!

(Wuj Frydląd zdyszany, zaaferowany, ale z bukiecikiem)

Frydląd. Nno! Jest futro! — To dla ciebie, Rara! (bukiecik). Moi państwo — tylko żadnych wymówek, żadnych morałów, żadnych terefere... Bądźmy kontenci, że się sprawa tak załatwiła!

Derka. Bogu dzięki! Pan tu ma moje okrycie? z sobą?

Frydląd. Mam! Ale co za spryt, hę? Przyjeżdżam tu do was — patrzę — kręci się po ulicy taki »bidula«. — A ponieważ wiem, że przestępca zawsze wraca na miejsce zbrodni i ponieważ Michał opisał mi go dokładnie, więc gadu — gadu... od słowa do słowa...

(do przedpokoju) Prosimy, drogi panie, prosimy. To on!

(Syfon)

Niechże pan wejdzie! śmiało!

Syfon (kłania się Ellen). Zdaje mi się, że miałem już przyjemność. (do Derki). To pańska była ta salopka? (czyta z kartki) foki, kołnierz — bobry »kamczatka«.

Derka. Moja! Czarny wierzch, ukośne kieszenie.

Syfon. Może i ukośne. Zwracam. Widzi pan — nie wiem, jakby tu rzecz całą panu wytłomaczyć? Omyłka.

Frydląd. Ale rozumiemy doskonale! Nic nie trzeba tłomaczyć! Zamienił pan po ciemku zwierzchnie okrycie... To się codzień zdarza.

Syfon. Mnie się nie zdarza. Ja odróżniam futro od gumowego palta — nawet pociemku. Omyłka, o której mówię, była natury nie fizjologicznej, ale psychologicznej!

Moryś (jęczy głucho) Moryś — trzymaj się —

Syfon. Pan zna bliżej mego przyjaciela Tendera?

Derka. Nie.

Syfon. Otóż cała rzecz w tem, że i ja go nie znam. Wtyka mi wczoraj ten osobnik jakieś papiery podejrzane i powiada: do-

lary — fałszywe, puść to między ludzi! To tak? — myślę sobie. Niedobrze. Trzeba człowieka ratować. Po co zaraz podrabiane pieniądze, kiedy można uczciwie zarobić? Łaps salopkę i — w nogi.

Dopiero dziś mi powiadają znajomi: ryfo zatracona, dolary są jak złoto! Na kawał mnie wziął — rozumie pan? Tranzakcja nie dochodzi do skutku — jedno palto się zwalnia. Pan kapuje?

Ellen (podaje mu rękę). Ja pana rozumiem doskonale!

Syfon. Zawsze mówiłem, że kobiety są mądrzejsze od nas! W rozumowaniu ścisłem — serce to grunt.

Ale ja tu gadam, a pan marznie. Proszę! (daje Derce dwie kartki). Zwracam prześwietne bobry i szenszyle.

Derka. Przepraszam — co to takiego?

Syfon. Kwit lombardowy. Nawet dwa. Na ten drugi wydadzą panu sprężynowy materac. Proszę to przyjąć jako prezent odemnie.

Derka. Dziękuję. Sprawę — oczywiście — uważam za zlikwidowaną...

Frydląd. Zlikwidowaną! I to nawet z dużym zyskiem dla wszystkich!

Derka. Rzeczywiście... Kwit... czek... sprężynowy materac... Ja stanowczo zarobiłem!...

Frydląd (do Syfona). Pan szanowny dochrapał się pewnej gotówki w mocnej walucie...

Moryś. Rara ze Stefanją mają jakieś »buldeneże« — ja jestem bogatszy o mnóstwo nowych wrażeń...

Ellen. Jednem słowem — kto kogo obrabował? Wy »rabusia«, a nie on was! Pozwól, że ci zabiorę, Morysiu! (zabiera mu strzelbę i wychodzi do pokoju po lewej). Już chyba dziś nie będziesz strzelał.

Moryś. Rzeczywiście! Po cóż ja na niego czyhałem z dubeltówką w garści?

Frydląd. Muszę zatelefonować do Niny! Ona jeszcze nic nie wie!

A kto się na nim pierwszy poznał? Ja? Trzeba mieć intuicję! W miłości, czy w handlu — zawsze pierwsze spojrzenie decyduje! Jeszcze wczoraj to powiedziałem! (wychodzi).

(Syfon od dłuższego już czasu — porozumiawszy się spojrzeniem z Rarą — puka bezskutecznie do drzwi po prawej).

Derka. Jak tam, panie? Wstaje?

Syfon. Nie. Gwiżdże, ale nic nie mówi.

Derka. Dwunasta. Ja tu później wpadnę. Może państwo przedłożą łaskawie swemu gościowi moją sprawę?

Moryś. Chętnie, panie Derka, chętnie.

Derka. Polecam się zatem. Nie mogę przecież czekać do oficjalnej audjencji, do wtorku...

Zresztą, jak ja tam z nim będę tak obcesowo mówił, z Tuesdayem? Jeszcze mnie fałszywie zrozumie.

Moryś (protekcjonalnie) Owszem, panie Derka. Zrobimy dla pana, co będzie można. (notuje na karcie): »Derka Mieczysław — posłuchanie u Tuesdaya«. Może pan liczyć na nasze poparcie... Niech pan wyłoży okoliczności sprawy na piśmie... Pan włada angielskim?

Derka. Niestety...

Moryś. Szkoda. Wielka szkoda. Pan powinien znać język angielski! W każdym razie czekam na list pański.

Rara, pan Derka odchodzi.

(Derka rzeczywiście kłania się, bełkoce jakieś: »Polecam się raz jeszcze«).

Nie omieszkam, mój panie. Skoro tylko gość nasz i przyjaciel... Właściwie mówiąc — Rara, jak ty wyglądasz? Przy-

puśćmy, że on tu wejdzie za chwilę! Do czego to podobne? Człowiek z dalekiego świata, Europę zna, jak własną kieszeń... A ty go przyjmujesz w peniuarze?

Rara. A ty? Cóż to za kostjum? Przejrzyj się w lustrze!

Moryś. Ja!? Ja to co innego! Ja z nim jestem na ty, piłem z nim bruderszaft. Wręczyłem mu klucz od drzwi tego domu. Ja z nim mogę się nie krępować... To mój serdeczny przyjaciel.

Syfon. (przy drzwiach pokoju gościnnego). A może mu się co stało? (Nachyla się... zagląda przez dziurkę od klucza — krótka pauza. Potem odwraca się raptem na pięcie i uśmiechnięty — zmierza na palcach ku wyjściu). Chodźmy, panie Derka, chodźmy. Bywają chwile w życiu człowieka... Chodźmy!

(W tej chwili z poza drzwi pokoju gościnnego słychać ni stąd ni zowąd wątły głosik kobiecy. Jakiś dyszkant czy sopran zawodzi ostatnią »Dolly«, »Medi«, czy »Ciboulette«. Zwykły w tych razach nonsens: »A jeśli już nie kochasz mnie,

to proszę nie mów nie i proszę nie mów tak, daj znak, a zniknę tak, jak ptak«...).

Rara (osłupiała). Co to? Kto tam jest?

Głos Toli. »Pójdziemy, o mia cara, do baru na porcję homara — całować będę twe usta — ty będziesz żuła langusta«...

Rara. W moim domu? Pod moim dachem? Maurycy!!

Moryś. Kobieta?! Skąd?

Derka. (po głębszym namyśle). Z »Oazy«. To jest Tola. Napewno! Tak zwany »zielony piperment«... Pan nie zna »Oazy«? Szkoda, wielka szkoda!

(I rzuciwszy biednemu Morysiowi spojrzenie tryumfujące — wychodzi).

Głos Toli. »Pod cyprysem w Mozambiku — do murzynki rzecze murzyn — co nas nuży w saloniku — pod cyprysem nas nie znuży«...

Rara. Co za szczęście, że Ellen tu niema w tej chwili! Skandal! I ona jeszcze śpiewa na cały głos! Maurycy! Ty na to pozwalasz!

Moryś. (puka do drzwi po prawej). Madame! Panie!

Rara. »Serdeczny przyjaciel«! »Człowiek z dalekiego świata« »Europę zna jak własną kieszeń«! — To są hotentockie obyczaje! Słyszysz? Taylor powiada, że Polinezyjczycy mają taką etykę! Według Fabre'a niektóre owady — z gatunku twardoskrzydłych podobnie się zachowują w przyzwoitym domu. Morysiu — ja wychodzę! Pamiętaj, że jesteś mężczyzną!

Moryś. Ale co ja mam robić? Drzwi zamknięte na klucz... Co Taylor i Fabre radzą czynić w podobnym wypadku?

Rara. Musisz iść po ślusarza! (wychodzi).

Moryś (puka do drzwi). Otworzyć! Bo pójdę po ślusarza!

Głos Toli. Nie mam nic przeciwko temu.

Ellen (wchodzi z pokoju po lewej). Morysiu. Zapakowałam sztucer do dużego kufra. Odeślecie mi go do Głuszyny — frachtem pospiesznym. Co to?

Głos Toli. »A poszło ich coś czterech — wróciło tylko trzech. — Ten jeden, który został — orizona — nikaragua — powiada: to był pech«!

Moryś. (do Ellen). Odejdź stąd! Jesteś niezamężna — wyjdź z tego pokoju!

Ellen. Co się stało?

Moryś. Kobieta! Ten człowiek przekracza wszelkie granice! Zamknął się tam na klucz z zieloną Tolą! Rozumiesz? Z pipermentem z »Oazy«!

Ja mu pokażę drzwi! Żebym tylko wiedział, którędy?

(Tender uśmiechnięty, wyświeżony — ale jeszcze od wczoraj we fraku. Kożuszek przerzucił przez ramię. Jakieś paczuszki, książki, kwiaty).

Tender. Dzień dobry! Przychodzę o dwunastej, bo nabyłem podręcznik »dobrego tonu«, zeszyt miejscowego pisma salonowego, i porobiłem sobie wyciągi. »Pierwsza wizyta — możliwie krótko i możliwie o dwunastej« Prawda?

Boże! Czyżbym ja znów coś niestosownego popełnił? Morysiu?

Moryś. Gabrjelu! Tylko wśród owadów twardoskrzydłych... i niektórych murzynów...

Chociaż jeżeli »ona« jest tam — a on tu — to nic właściwie... (zirytowany). To są wyniki nieregularnego trybu życia! Ja się zwykle hantluję o tej porze, a wy mi każecie myśleć! Nie mogę być

Metternichem od samego rana, po nieprzespanej nocy! (wychodzi).

Tender. Co mu się stało?

Głos Toli. »Miłość jest, jak ten kwiat«...

Tender. Co ja mu złego zrobiłem?

Ellen. (tłumi śmiech). Nie domyśla się pan? (gest). A to co znaczy?

Tender. Ach, ta dama! (wyjmuje klucz z kieszeni). Przecież tym razem żadnych nieprzewidzianych komplikacyj być nie mogło? Zamknąłem ją na klucz! Na dwa spusty! Chyba, że wyłamała drzwi?

Ellen. Nie wyłamała. Siedzi.

Tender. Jeżeli siedzi, to o co chodzi?

Ellen. Pan widocznie niecały ten podręcznik »dobrego tonu« przestudjował? Jakiem prawem sprowadza pan ją tu — do obcego domu? w nocy?

Tender. Pani na mojem miejscu uczyniłaby to samo.

Ellen. Ja?

Tender. Oczywiście, gdyby pani znała »dżu-dżistu« i gdyby pani spostrzegła w nocnym lokalu...

Ellen. Nie bywam w lokalach nocnych.

Tender. Ja też nie! Ale gdzie miałem pójść?

Tutaj? Po pierwsze, nie lubię się narzucać, a po drugie — skoro mnie posądzają o kradzież...

Ellen. Nikt pana nie posądza o kradzież. Ma pan tu swój czek (bierze ze stołu kartkę). Futro się odnalazło.

Więc co znowu było w tym lokalu podejrzanym?

Tender. Nic. Jakiś pijany drab znęca się nad kobietą... Pani wie, że on miał rewolwer w garści?

Ellen. Któż to jest właściwie?

Tender. Pani pyta o nią? Nie wiem. Powiedziała, że jej na imię »Tola«.

Ellen. »Klijentka« — co? Bogu dzięki — raz przynajmniej pan wie, jak pańskiemu klijentowi na imię! Dlaczego pan ją nie odwiózł do domu?

Tender. Nie mogłem. Niech pani sobie wyobrazi, że ona — dziwnym trafem — mieszka razem z tą kanalją.

Ellen. Z jaką kanalją?

Tender. Z Kociem.

Ellen. Jakto, z Kociem?

Tender. No z tym, co dostał szału pijackiego w »Oazie«. Strzelał do lampek żarowych,

rzucał się na ludzi. Oni tam mówią, że on się często tak bawi. Chamisko ma ze dwa metry wysokości i gdyby nie to, że znam pewien chwyt japoński... Ja to pani pokażę (chwyta ją za rękę).

Ellen. Dziękuję! Pan mi rękę wykręci!

Tender. Przepraszam! Osioł ze mnie! Panno Ellen. Ja wiem, że co chwila jakiś grubszy nietakt popełniam. To nie przez złość, tylko dlatego, że ja się tak włóczę z kąta w kąt. Nocowałem w Palace-hotelu w Monte Carlo i w przytułku noclegowym — na wozie, pod wozem, stykałem się z książętami krwi i z robotnikami w dokach. Zwyczaje i przesądy różnych sfer pomieszały mi się, jak groch z kapustą. Ostatecznie — to nie są rzeczy najważniejsze, prawda? Dla pani... (do pokoju, z którego znów brzmi głos Toli). Proszę ciszej! My tu rozmawiamy poważnie!... dla pani postanowiłem się nauczyć tej książki (gest) na pamięć. »Savoir-vivre«... Ale — na litość Boga — tu jest ze 250 stronic druku! Nie mogę przecież tego połknąć jednym haustem!

Niech pani będzie pobłażliwa dla mnie. Przynajmniej do pewnego czasu. Dobrze?

Ellen. Dobrze, panie Gabrjelu. Przyrzekam. Ręka! (podaje mu rękę). Ale pod jednym warunkiem! Musi się pan przyznać — szczerze, otwarcie, że pan mnie oszukał.

Tender. Panią?

Ellen. Tak. Maskował się pan. Opowiadał mi pan bajki o gwiazdach i talarach, o rachunkach i kalkulacjach finansowych. Nonsens! Pan jest poprostu metodysta czy anabaptysta. Pan należy do sekty, prawda.

Tender. Ja? Do sekty?

Ellen. Pan należy poprostu do jakiejś armji zbawienia, chodzi pan po ulicach miast europejskich z bębnem i trąbką...

Tender. Ja? Z trąbką? Największy nicpoń i włóczykij na kontynencie?

Ellen. Nie, mój dobry panie! Zbiera pan bezpańskie pieski na ulicach.

Tender. Piesek się nie liczy! Piesek to było konto strat nieuniknionych.

Ellen. Wspiera pan ubogich pod barem, umoralnia pan kobiety po dancingach. Cóż to może mieć za cel?

Tender. To ma ten cel... (wyjmuje notesik). Bo pani mi nigdy nie pozwala przyjść do słowa! Właśnie pani miałem zamiar pokazać moje księgi handlowe! »21/II. Pontebba. Jegomość, który zgubił bilet kolejowy i portfel — zabiera mnie, wzamian za drobną pomoc pieniężną, do Polski — jako tłomacza. Przypisek późniejszy. Nazywa się P. F. Tuesday«. Przecież to są fakty! Cyfry! Ja — z bębnem i trąbką? Stefanjo!

Ellen. Pocóż panu teraz Stefanja?

Tender. Chcę ją uwieść i momentalnie porzucić! Chcą panią przekonać, że ja nie jestem moralistą... Ja kalkuluję, jak buchalter! Nie umiemy myśleć, proszę pani, nie umiemy liczyć! Szelkom i towarom łokciowym można poświęcić życie, tak? A to, co ja robię, artykuł, którym ja handluję — to nic, to nonsens, prawda? Dlatego, że go sobie wyszukałem w bajkach Grimma, a nie w książce adresowej?!

(Tola puka do drzwi).

Co tam?

Głos Toli. Proszę mnie stąd wypuścić nareszcie!

Ellen. Klijentka!

Tender. A właśnie, że klijentka! Każdy tak zwany ordynarnie »dobry« uczynek musi dać zysk i prowizję... Ja się na operacjach bankowych trochę znam, bo było już ze mną i tak, że zastępowałem nocnego portjera w filji »Credit Lyonnais«. Trzeba pani wiedzieć...

Ellen. Niechże pan już otworzy te drzwi! Zobaczymy! (siada na poręczy fotela i patrzy). Najlepiej demonstruje teorję żywy przykład.

(Tola w zielonej, do pasa dekoltowanej sukni balowej, na którą narzuciła piżamę Tendera).

Tola, (jest oburzona do żywego). Panie, pan oszalał, co? Klepkę pan zgubił?! Sie haben klepka verloren. Vous êtes tombé d'un boeuf?

Tender. Nie rozumiem.

Tola. Na klucz mnie pan zamyka w pokoju? Pan na głowę upadł? I poco mnie pan wogóle do tej remizy wstawił. Zimno, jak w psiarni.

Ellen. (zaczyna się bawić zafrasowaną miną Tendera). Hm!

Tola. Proszę pani, co to za typ? Państwo go

tak samopas na miasto puszczają! Przecież nad nim trzeba opiekę roztoczyć! Kociowi szczękę z zawias wytrącił — mnie skompromitował...

Tender. (szczerze zmartwiony) Panią? Przecież miałem jaknajlepsze zamiary... Chciałem panią wydrzeć...

Tola. Co wydrzeć? Jak ja się teraz na dancingu pokażę? Nikt się nie będzie śmiał zbliżyć do mnie! Jeszcze w kurjerku mnie opiszą, zobaczy pani! »Szalona Tola — czyli gdzie dwóch się bije, tam nikt nie korzysta!« Jakbym była przytem!

Tender. (coraz ciszej). Nie mogłem przecie pozwolić, żeby ten drab panią szarpał...

Tola. I co pan wskórał? Teraz mnie trzech drabów będzie szarpało, cała prasa! Nie jestem byle kto! Ja muszę dbać o opinję! Bohater się znalazł! Dobroczyńca!... Opiekun!...

Ellen. ??!!

Tender. Straty handlowe, panno Ellen, straty handlowe. (do Toli). Przepraszam panią bardzo (wręcza jej jeden z bukietów)... Nieudana operacja, jakich bywa tysiąc w każdym większym interesie. Deficyt...

manko... Więcej powiem: roztrwonienie depozytów i malwersacja (odchyla połę fraka — ramię owinięte szalikiem jedwabnym, ślady krwi. Kamizelka podarta). Same minusy!

Ellen. Boże drogi! Panie Gabrjelu! Co panu jest?

Tender. Nic. Głupstwo. To Kocio — zawadził lufą rewolweru. Niema o czem gadać...

Ellen. Niech pan tu siada! Lecę po lekarza... Trzeba przynieść wody utlenionej... Zaraz... Poślę Stefanję do apteki...

Tender (zatrzymuje ją). Droga, kochana panno Ellen! Nie trzeba, nic nie trzeba! Nic mi nie jest! To tylko tak. — Chciałem pani pokazać, »kontokurrent« w całej okazałości! Co mam i com winien! Niech się pani nie trwoży! Mogę każdej chwili stanąć do turnieju bokserskiego! O! (Ruch — syknął z bólu, ale nadrabia miną).

Ellen. Niech mi pan pozwoli ramię obejrzeć — ja się znam na tem! Byłam sanitarjuszką. Niech się pan nie rusza!

Tender. Zaraz! (chwyta notatki ze swojej księgi »dobrego tonu«). Aha! Jest! »Całujemy w rękę: a) mężatki — w całej Europie,

z wyjątkiem Anglji, Francji, Jugosławji i krajów skandynawskich, b) kobiety niezamężne w Europie wschodniej, z wyjątkiem Węgier, Rumunji«... Głupstwo!

(całuje w rękę Ellen z impetem, ściska dłoń Toli).

Tola. Mam do pana żal, ale co tu gadać! Pan jest mój typ — daleko więcej, niż Kocio! (do Ellen). Winszuję! Państwo będą szczęśliwi ze sobą! Na tem to znów ja się znam!

Kiedyż ślub, proszę pani?

Ellen. Nie wiem. Są pewne trudności. Pan Gabrjel jeszcze mi się nawet nie oświadczył...

Tola. Nie? Boże, czy jest na świecie stworzenie głupsze od mężczyzny? Panie! Czy pan ma papiery w porządku? Bo jeżeli nie, to ja to panu ułatwię. Mam znajomości w komisarjacie rządu. Słyszy pan, czy nie? Oniemiał!

Tender (liczy puls). Raz — dwa — osiem — Najwidoczniej mam gorączkę! Maligna! Słowo daję — maligna!

Ellen. Biegnę do apteki! Zatelefonuję do Dordońskiego!... To chirurg!

Tender. Stać! Ani kroku! Jakto? Panno Ellen? Pani chciałaby za mnie? Poprostu za mnie?

Ellen. Kiwam głową, że tak — jak mówi Stefanja.

Tender. Przecież ja jestem włóczęga, ptak przelotny, pasażer kolejowy z zawodu...

Panno Ellen! Pani wie, na co się pani naraża? Toć ja trzydzieści siedem lat żyję na świecie i dotąd piędzi ziemi, co mówię — własnej komody nigdy nie miałem!!

Ellen. Ziemi mam w Głuszynie czterdzieści włók — I cztery komody. Na początek wystarczy...

Tender. Nie. Mnie się coś majaczy! Galopująca gorączka! Panno Ellen, przecież ja cygan jestem! Dziś Marsylja, jutro Wenecja, pojutrze Malmo i Trelleborg. Prócz tych dziesięciu palców i kiepskiej głowy na karku — To niemożliwe!

Ellen. Prawdziwa męska logika! Najpierw mi pan tłumaczy, że pan jest wyłącznym właścicielem Escurialu, Hyde-Parku, pałacu dożów, Londynu, Wenecji, Paryża... a później — jak przyjdzie co do czego — nic nie mam, włóczęga jestem...

Tender. Bo Escurial i pałac dożów — może wystarczyć na jedną pojedynczą osobę, ale nie na małżeństwo z dziećmi.

Ellen. Nie przerywać! Raz pan powiada: prowadzę jedno z najświetniejszych przedsiębiorstw w Europie...

Tender. Przedsiębiorstwo idzie świetnie — to prawda! O! Mamy dowód! Panna Tola! Co ja dla niej zrobiłem? Nic, mniej, niż nic — dałem w zęby jakiemuś Kociowi. Co ona zrobiła dla mnie? Dała mi największe szczęście życia... bo to od niej się dowiedziałem...

Takie zyski lichwiarskie — przy tak małym obrocie! (całuje ją w rękę)

(Tola znalazła w kącie gitarę włoską i brzdąka).

Tola. »Bo miłość jest, jak kwiat — o wczesnej wiośnie — od tylu lat — wciąż nieposiana rośnie«...

(I sprawa zakończyłaby się tym finałem muzycznym, gdyby nie siła wyższa — P. Nina).

Nina. (słychać już za sceną jej głos). Gdzie dzieci, Stefanjo? Maurycy! Rara! Gdzie dzieci?! (wpada do pokoju — nic nie mówiąc — »odbiera« Tenderowi dłoń panny Ellen...). Maurycy! Moryś!

Głos Morysia (jak w leśnej kniei). Hop! Hop!

(Nina chwyta pannę Ellen i uprowadza ją do pokoju po lewej).

(W saloniku Tola została z Tenderem).

Tola. (szeptem). Kto to?

Tender. (również szeptem). Ciotka. Głowa rodziny. Pani Frydlądowa.

Tola. Fju! Ma osoba temperament! Hm! — popsuło się! Niedobrze!

Tender. Owszem! Właśnie, że dobrze, panno Tolo! Skąd? Ona — i ja... Taki kwiatek przy tym (gest) moim kożuchu...

(Przynosi swoją walizeczkę i płaszcz Toli z sąsiedniego pokoju). Istnieją, panno Tolu, ptaki oswojone i nieoswojone. Mogę panią prosić o piżamę (pakuje się gorączkowo). Ja jestem widocznie nieoswojony. Gdybym gdzie osiadł na roli, toby mnie poprostu wiejskie wróble zadziobały. Sapristi! nie domyka się!

Tola. Więc niby co teraz będzie?

Tender (pakuje uporczywie ubogi kuferek). Nic. Pani sobie pójdzie do Lourse'a na śniadanie, a ja... w świat, panno Tolu, do swoich posiadłości: doki, kanały, arkady mostów.

Tola. Mojem zdaniem, powinien pan iść do tej

ciotki i powiedzieć tak: Stara papugo. Nie mam tylu przodków, co ty, ale mogę mieć więcej potomków...

Tender. Dziękuję.

Tola. A może pan już wogóle ma żonę?

Tender. Ściśle mówiąc — tak! Na imię jej — Lokomotywa! Przygarnęła mnie, nie pytając o tytuły, fach, pochodzenie — i tak już z sobą żyjemy dobrych kilkanaście lat... (wciąż usiłuje domknąć walizkę). W życiu, panno Tolu, najtrudniej jest zamknąć walizkę! Amerykę każdy odkryć potrafi. — Ale spakować rzeczy we właściwej porze — drapnąć — wyruszyć w drogę!...

Tola. Panie! Chciałabym wiedzieć, czy dużo się też po świecie takich kręci, jak pan?

Tender (siada na walizie). Będzie nas coraz więcej. Prawo przyrodnicze, panno Tolu. Natura w krajach, gdzie upał wargi spieka, wytwarza wodniste pomarańcze, w krajach, gdzie mróz kości ziębi — produkuje puszyste futra — bobry pana Derki. W klimacie europejskim powojennym, który mózgi na trociny i serca na krzemienie

wysusza — będzie szalony urodzaj na takich warjatów, jak ja.

(We drzwiach — Syfon, nieco różowy od mrozu i wódki). A, Syfon! Jak się masz, przyjacielu! Mój drogi, mam do ciebie prośbę! Siadaj ze mną na tej przeklętej walizie — może się domknie! (pracują obaj). Zaopiekujesz się panną Tolą. A ten tłumok przynieś mi na stację — pociąg trzynasta piętnaście. Dobrze?

Syfon. Wyjeżdżasz?

Tender. Tak! Przyjechałem spłacić mały dług — zaciągnąłem większy. Uciekam — bo ja tu zbankrutuję ostatecznie!

Syfon. Szkoda. Myślałem, że się osiedlisz na dłużej... Chciałem ci zaproponować interes: karty do gry z aforyzmami sławnych ludzi...

Tender. Dam ci list polecający do Morysia. Może on się na tem zbogaci. Do widzenia na dworcu! (wybiega).

Syfon (dopina walizę). Tje! Nie umiał sobie życia urządzić... Fantasta! Chodźmy, mademoiselle!

(Tola wychodzi, Syfon, borykając się z walizką. zmierza również ku drzwiom).

(Nina z pokoju po lewej. Ciągnie za sobą Morysia, który głowę owiązał ręcznikiem i w rękach trzyma jeszcze hantle).

Nina. Siadaj, Maurycy. Są ważne nowiny. Musimy odbyć walną naradę. Posiedzenie rady familijnej!

Moryś. Dlaczego ja? Dlaczego zawsze ja?! I to od samego rana? Od czegóż jest wuj Amilkar? Niech radzi!

Nina. Amilkar! Też mi głowa! Pije tam na dole przy szynkwasie z Derką i jakimś oberwusem...

(Syfon z wielkiego wrażenia upuścił walizkę, która się roztwiera i wypluwa na podłogę jakieś drobiazgi). — Oberwusem! O mnie! (mruczy). A do kogo książę Walji depeszował w razach wątpliwych: Syfon, odpinamy ostatni guzik kamizelki, czy nie odpinamy! — Oberwus!

Nina (patrzy przez lorgnon). Mój człowieku! Później to sobie pozbieracie. Zaczekajcie tam w przedpokoju... (wypycha go za

drzwi, pomimo protestów). Cóż to za jeden?

Moryś. (ogląda się teraz dopiero). Kto?

Nina. (woła). Rara! Ellen!

(Ellen drzwiami po lewej).

Nina. Moi drodzy! Otóż sprawa wygląda tak. Informowałam się! Ościpska wzięła na spytki portjera z Brystolu! Telefonowała do mnie przed chwilą. Wiem wszystko!

On — zna Tuesdya osobiście! Przyjechał z nim razem! Wczoraj o czternastej dwadzieścia!

Moryś. Bardzo doniosłe odkrycie!! Nie rozumiem wogóle, po co się jeszcze Kolumb na świat fatygował, skoro już mamy panią Frydlądową... (kilka gestów lekkoatletycznych)

Nina. Mój drogi! Przestań się gimnastykować! Chodzi o rzeczy poważne.

Jeżeli to jest doprawdy sekretarz Tuesdaya — to to mogłaby być doskonała partja dla Ellen! Jakiego wy jesteście zdania?

Ellen. (uśmiecha się). Ciocia ma rację! Ciocia zawsze ma rację.

Nina. Oczywiście, trzeba temu wszystkiemu

nadać jakąś formę. Ten człowiek nie mógł żebrać we Florencji i myć statków w Trieście!

Ellen. Kiedy jednak tak było, ciociu, żebrał i mył — nic nie poradzimy.

Nina. Poradzimy! Albo ułożymy mu inne curriculum vitae — albo... Jeżeli już chce być taki ekscentryczny, to niech będzie przynajmniej miljarderem! U potentatów amerykańskich takie rzeczy nie rażą!

Otóż mam pewien plan! Morysiu, przestań się gimnastykować — proszę cię!

Moryś. (gesty, jak przy szwedzkich ćwiczeniach) Rozmowa z ciocią wymaga takiego napięcia inteligencji, że — dla równowagi — muszę też trochę popracować fizycznie. Ale słucham! Pochłaniam każde słowo!

Nina. Uważaj, Ellen! Ościpska w Ziemiańskiej poznała pewnego bruneta, który wynalazł łatwy sposób gaszenia wulkanów. Wlewa do krateru jakąś substancję i wulkan gaśnie...

Mój projekt jest taki. Tender powinien użyć wpływów, poruszyć Tuesdaya,

Morgana, Vanderbildta, stworzyć wielkie głośne konsorcjum i — jeżeli próby się powiodą — możnaby zacząć od Wezuwjusza — pobierajcie się! Rozumiesz, Ellen?

Ellen. Rozumiem! Mam czekać na męża — dopóki Wezuwjusz nie wygaśnie...

Moryś. Ja jestem zdania cioci. Projekt jest doskonały. Gaszenie wulkanów! Tylko praca u podstaw może uratować Europę. Chętnie — po śniadaniu — zbiorę odnośne dane...

(Pukanie — Syfon).

Nina. Dlaczego wy się tu kręcicie, człowieku? Mówiłam przecie — później. Co to? tapicer?

Ellen. Ciotko! Kolega szkolny pana Tendera! Jego przyjaciel i klijent...

Nina. To? Jezus Marja. Kolega szkolny! Widzieliście, jak się ten człowiek mało szanuje?

Gdzie jest pan Tender?

Syfon. Przypuszczam, że na dworcu, dostojna pani. Mam mu odnieść tę walizkę...

Nina. Na dworzec? Wyjeżdża?

Syfon. Wyjeżdża. Trzynasta.

Nina. Bez pożegnania?

Syfon. Nikt się tu z nim nie witał, sądzi prawdopodobnie, że nikt się z nim żegnać nie będzie...

Ellen. (chwyta okrycie, kapelusz). Chodźmy, panie Syfonie kochany...

Nina. Ellen! Dokąd? Gdzie?

Ellen. Na dworzec.

W życiu tego człowieka, ciociu, kolej odgrywa taką rolę — że nawet zaręczyny muszą się odbyć widocznie na stacji centralnej (wychodzi).

Nina. Panna Ellen de Verny, wnuczka Euzebjusza, goni po poczekalniach kolejowych za jakimś włóczęgą. Co za czasy!

Moryś. (gimnastyka szwedzka z przykucaniem, system Millera). Nie mogą się, moja ciociu, zaręczać w dyliżansie pocztowym — skoro je oddawna wycofano z obiegu... (zrzuca ze stołu jakąś książkę, przyniesioną przez Tendera)

»Podręcznik dobrego tonu«? Dzieło muzyczne w moim domu?

(Rzuca to w kąt z pogardą)

Koniec.

EPILOG I MORAŁ.

Nie wiemy, czy pan Gabrjel Tender pojął wreszcie za żonę pannę Ellen i czy żyli ze sobą szczęśliwie...

Mężczyzna — i to jest właśnie myśl zasadnicza tych djalogów, pozbawionych akcji dramatycznej — mężczyzna jest z natury *koczownikiem,* kobieta należy zawsze do ludów *osiadłych.* Walki owych różnorakich a wrogich narodów nie wygasły, trwają po dziś dzień i to, co Historja opowiada o krwawych starciach Wizygotów z Gallami, powtarza się bardzo często i teraz jeszcze w historji każdego dobranego małżeństwa.

W małżeństwie Wizygoci, podbiwszy Gallów, stają się przeważnie zwykłemi wołami roboczemi — chociaż czasem buntuje się w nich coś, porzucają orną ziemię, przychówek, szczęście rodzinne, dobytek i wędrują dalej.

Widzimy przeto, że nasza — bezcelowa pozornie — gawęda zimowa jest w gruncie

rzeczy poważnem studjum historycznem z epoki wędrówki narodów.

Nie upierajmy się zresztą. Być może, że przygody Tendera w Warszawie pochodzą z innego, mniej odległego okresu naszych dziejów.